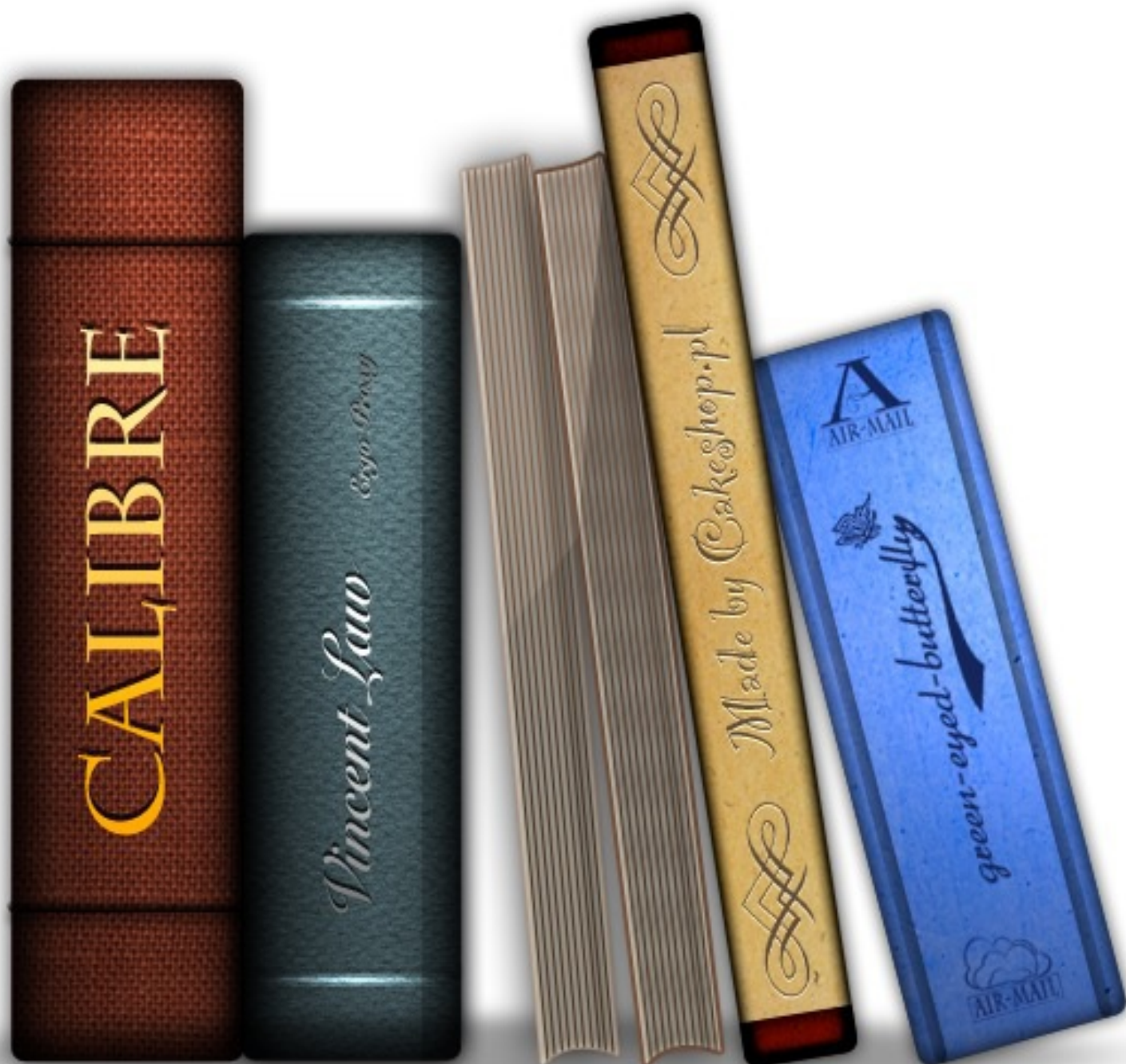


Gwiezdny Lowca

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Gwiezdny Lowca

Tytuł oryginału: Star Hunter

Przekład: Katarzyna Karłowska

1

Większy księżyć Nahuatl ścigał mniejszą, zielonkawą kulę swego towarzysza po bezchmurnym niebie, na którym gwiazdy lśniły niczym łuski ogromnego weza, oplecionego wokół czarnej misy. Ras Hume stanął przy grzędzie wonnej lawendy, wytyczającej granicę górnego tarasu Domu Rozkoszy. Zastanowiło go, dlaczego przyszedł mu na myśl wąż. Po chwili zrozumiał. Z tym obiektem odwiecznej ludzkiej nienawiści, sprowadzonym przez człowieka z rodzinnej planety na odległe gwiazdy, kojarzyła się symbolicznie złowrogo skrecona, wkleśła ścieżka przecinająca ten teren. A samego Wassę, tak na Nahuatl, jak i kilkunastu innych światach reprezentował wąż. Pierwsze podmuchy nocnego wiatru poruszały liśćmi egzotycznych roślin z innych światów. Posadzone przemyślnie, miały symulować tajemnice obcych dżungli.

-Hume? - Pytanie wydawało się rozbrzmiewać w przestrzeni nad jego głową.

-Hume - powtórzył spokojnie własne nazwisko.

Strumień oslepiającego światła przebił się przez zieloną gestwinię, ukazując ścieżkę. Hume zawahał się na moment, odpowiadając obojętnością na ten jakże dobrze mu znany test sprawności władz mentalnych. Wassa był VIP-em podziemnego imperium, nie należącym jednak do tego świata, po którym poruszał się Hume.

Zdecydowanym krokiem ruszył oświetlonym korytarzem, między ścianami z liści i kwiatów. Z kępy lilii tharsala lypnęła na niego złośliwie kryształowa bryła. Misternie wyrzeźbione diabelskie rysy były wytworem obcej sztuki. Z płaskich nozdrzy stwora dobywały się smutki dymu i Hume poczuł won znajomego narkotyku. Uśmiechnął się. Takie metody działały być może na zwykłych cywilów, których Wassa tu przesłuchiwał. Jednakże pilot gwiazdny, w obecnej chwili Poszukiwacz Ścieżek, posiadał umysł odporny na takie sztuczki.

Stanął pod drzwiami, których nadproże i ościeżnice zdobiły bogatsze jeszcze rzeźbienia. Terrariskie. uznał Hume, i stare, bardzo stare. Być może pogłoski mówiły prawdę, Milfors Wassa mógł być naprawdę Terraninem z pochodzenia i to nie w drugim, trzecim czy czwartym pokoleniu gwiazdnej rasy, z których wywodziła się większość tych, którzy dotarli do Nahuatl.

Surowe wnętrze komnaty stanowiło kontrast wobec ozdobnego wejścia. Rdzawe ściany były zupełnie nagie z wyjątkiem owalnego dysku rzucającego metny, złotawy poblask. Tuz

przed nim stało krzesło i długi stół z twardej, rubinowej skały z Xipe, trującej, siostrzanej planety Nahuatl. Nie zatrzymując się i nie czekając na zaproszenie, podszedł do krzesła i usiadł.

Metna luna mogła pochodzić z jakiegoś urządzenia przekaznikowego. Hume tylko raz rzucił na nią okiem. Rozmowa miała się odbyć w cztery oczy. Nie miał zamiaru długo czekać na swojego interlokutora.

Hume miał nadzieję, że oczom niewidocznego obserwatora prezentuje się jako człowiek, na którym sceniczne dekoracje nie wywierają żadnego wrażenia. Ostatecznie to on miał do zaoferowania coś, na czym zależało tamtym.

Ras Hume ułożył prawa dłoń na stole. Jej opalenizna odznaczała się na tle połyskliwego, wypolerowanego kamienia - idealnie taka sama jak na lewej. Drobną różnicą między prawdziwym a sztucznym ciałem nie stanowiła zasadniczej przeszkody funkcjonalnej. Niemniej jednak kalectwo pozbawiło go stanowiska dowódcy liniowca pasażersko-handlowego i oznaczało koniec wspaniałej kariery gwiazdowego pilota. Wokół ust pozostawiło zaś gorzkie bruzdy, wyrzeźbione głęboko, jakby nożem.

Minęły już cztery lata - czasu planetarnego - odkąd wystartował Rigal roverem z wyrzutni na Sargon Dwa. Przeczuwał, że podróż z młodym Torssem Wazalitzem, trzecim z kolei dziedzicem rodu Kogan-Bors-Wazalitz, namietnym amatorem zucia gratzu, może być pełna niespodzianek. Nikt jednak nie wdaje się w spory z właścicielami, o ile w grę nie wchodzi bezpieczeństwo statku. Rigal rover lądował awaryjnie w Alexbut, ciężko ranny pilot sprowadził go dramatycznym wysiłkiem swej woli, nadziei i wiary, które później jednak prędko się rozwiały.

Dostał plaster dłoń, najlepsza, jaka centrum medyczne mogło dostarczyć, i dożywotnią rentę - rezultat powszechnego podziwu dla kogoś, kto ratował statki i życie. Potem - zwolnienie z posady, ponieważ oszałały Tors Wazalitz nie żył. Nie osmielili się oskarżyć Hume'a o morderstwo; raporty z wyprawy zostały przesłane prosto do Rady Patrolowej, a znajdujących się w nich dowodów nie można było sfalszować lub podmienić. Nie mogli go ukarać natychmiast, ale mogli mu załatwić powolną śmierć. Rozeszła się wieść, że Hume przestał być pilotem. Usiłowali go trzymać z dala od przestrzeni.

I to pewnie też by im się udało, gdyby był zwykłym pilotem, znającym się wyłącznie na swoim fachu. Jednakże jakiś niespokojny duch kazał mu zawsze starać się o kursy na obrzeża, o pierwsze loty do nowo odkrytych światów. Oprócz zwiadowców, niewielu było kwalifikowanych pilotów w jego wieku, którzy by posiadali tak rozległą i różnorodną wiedzę o galaktycznych pograniczach.

Kiedy się więc dowiedział, że na pokładach statków nie ma już czego szukać, zaciągnął się do Gildii Poszukiwaczy Ścieżek. Istniała ogromna różnica między wznoszeniem liniowca z wyrzutni a organizowaniem amatorskich polowań w dziczy zbadanych i specjalnie

strzezonych swiatow. Hume przepadal za odkrywczym aspektem tych wypraw i... nienawidzil prowadzenia za reke klientow Gildii.

Jednakze gdyby nie sluzba w Gildii, nigdy nie dokonalby tego odkrycia na Jumali. Coz za szczesliwy traf! Hume zgial palce z plasta-ciala, przejezdzajac paznokciami po czerwonym blacie. Gdzie jest Wass? Juz mial wstac i odejsc, gdy nagle ze zlotego owalu zaczely sie wydobywac smugi dymu. Po chwili dym zmienil sie w rzadka mgle, z niej zas wylonil sie czlowiek.

Przybysz byl nizszy od bylego pilota, ale mial szerokie barki, przez co gorna czesc jego torsu wydawala sie nieproporcjonalnie rosła w stosunku do waskich bioder i krotkich nog. W jego dosc konserwatywnym ubiorze wyrozniata sie nabijana szlachetnymi kamieniami tarcza, przymocowana na wysokosci serca do opietej tuniki z szarego jedwabiu. W odroznieniu od Hume'a nie nosil pasa z bronia, lecz Hume nie watpil, ze w calym pomieszczeniu ukryto mnostwo urzadzen przeciwdzialajacych ewentualnym probom zamachu.

Mezczyzna w lustrze przemowil beznamietnym glosem.

Jego czarne wlosy byly gladko wygolone nad uszami, a kosmyki na czubku glowy zaczesane w cos na ksztalt ptasiego gniazda. Podobnie jak Hume, odkryte czesci ciala mial mocno opalone, lecz, jak pilot sie domyslal, raczej od przebywania na sloncu niz w przestrzeni kosmicznej. Ostre rysy twarzy, wydatny nos, cofniete czolo, podluzne, ciemne oczy, obdarzone ciezkiemi powiekami.

-Znakomicie... - Wyciagnal rece przed siebie, kladac dlonie na stole, a Humc przylapal sie na tym, ze z jakiegos powodu nasladuje ten gest. - Wiec masz dla mnie propozycje?

Pilot, na ktorym scenografie Wassa nie wywarly najmniejszego wrazenia, nie pozwolil sie ponaglac.

-Mam pomysl - poprawil.

-Pomyslow jest bez liku. - Wass oparl sie wygodniej, ale nie zdjal rak ze stolu. - Byc moze jeden na tysiac bywa podstawa czegos uzytecznego. Reszta nie ma co zaprzatac sobie glowy.

-Zgoda - odparowal pewnym glosem Hume. - Ale taki pomysl jeden na tysiac moze sie oplacic po milionkroc.

-I masz wlasnie taki pomysl?

-Mam.

Teraz to Hume usilowal zrobic wrazenie na swoim rozmowcy niezachwiana pewnoscia

siebie. Przeanalizował wszystkie możliwości. Wass jest właściwym człowiekiem, być może jedynym partnerem, jakiego uda mu się znaleźć. Nie powinien jednak o tym wiedzieć.

-Chodzi o Jumale? - spytał Wass.

Jeśli to spojrzenie i towarzysząca mu informacja miały wstrząsnąć Hume, to strzał chybił celu. Odkrycie jego niedawnego powrotu z pogranicznej planety nie mogło nastreczać VIP-owi żadnych szczególnych trudności.

-Być może.

-No dalej. Poszukiwaczu Ścieżek. Obydwaj jesteśmy ludźmi zapracowanymi, to nie czas, by bawić się w gierki słowne i aluzje. Albo dokonales odkrycia, które jest warte uwagi mojej organizacji, albo nie. Pozwól, że sam osadzę.

Dopadł go. Wass przemawiał własnym kodem. Objął ścisłą kontrolą swą przestępczą organizację, narzucając jej członkom z góry ustalone zasady, z których jedna brzmiała "nie bądź chciwy". Wass nie był chciwy i właśnie dlatego ludzie Patrolu nigdy nie potrafili wciągnąć go w pułapkę, a ci, którzy prowadzili z nim wspólne interesy, nie chcieli przeciwko niemu zeznawać. Jeśli występowało się z korzystną propozycją i Wass godził się zostać tymczasowym partnerem, wówczas sztywno trzymał się przyjętych zobowiązań. Należało postępować tak samo - inaczej zalałoby się swojej głupoty.

-Prezydent do majątku Koganów. Jak ci się to podoba?

Wass nie pokazał po sobie zdziwienia.

-A dlaczego taki pretendent miałby mieć dla nas jakąkolwiek wartość?

Hume docenił to "nas"; potraktowano go jako partnera.

-Jeżeli dostarczysz pretendenta, z pewnością będziesz mógł domagać się nagrody, i to z niejednego powodu.

-Racja. Ale pretendent nie rodzi się ze snów. Prawdziwość roszczeń do majątku będzie musiała zostać zatwierdzona i żadne oszustwo nie przejdzie testów. Tylko prawdziwy pretendent nie potrzebowałby twojej czy mojej pomocy.

-To zależy od pretendenta.

-Tego, którego znalazłeś na Jumali?

-Nie. - Hume wolno pokręcił głową. - Na Jumali znalazłem coś innego... kapsułę ratunkową z largo drifta, nietkniętą i w dobrym stanie. Istnieją dowody na to, że mogła tam wylądować z rozbitkami na pokładzie.

-A czy istnieje również dowód na to, że ci rozbitkowie przeżyli?

Hume wzruszył ramionami, lekko naprezając swe palce. - Minelo sześć lat planetarnych, kapsuła jest ukryta w jednym z lasów. Nie, na razie nie ma żadnych dowodów.

-Largo drift - powtórzył wolno Wass - mający na pokładzie między innymi Gentlefem Tharlee Kogan Brodie.

-I jej syna Ryncha Brodiego. który w chwili zniknięcia Largo Drifta miał czternaste lat.

-Rzeczywiście doskonałe odkrycia.

Wass wygłosił to proste stwierdzenie, by zapewnić Hume'a o jego wygranej. Jeden z tysiąca jego pomysłów został polknięty, a teraz podlegał analizie, rozwijany, rozbijany na szczegóły, z którymi nawet nie marzył, że sobie poradzi, przez najsprytniejszy, przestępczy mózg co najmniej pięciu układów słonecznych.

-Czy istnieje możliwość, że ci rozbitkowie tam są? - Wass zaatakował problem prosto z mostu.

-Żadnych dowodów nawet na to, że kapsuła ratunkowa miała na swoim pokładzie jakichkolwiek pasażerów, kiedy lądowała na planecie. Te łodzie są wyposażone w automatyczne sterowanie i uwalniają się same w kilka sekund po alarmie. Mogła tam przewieźć jakichś rozbitków. Ja jednak przebywałem na Jumali przez trzy miesiące z pełną ekipą Gildii i nie znaleźliśmy żadnych śladów.

-Proponujesz więc...?

-Na podstawie mojego sprawozdania, Jumala została wpisana na listę planet nadających się do safari. Taka kapsuła ratunkowa mogłaby również dobrze odkryć przypadkiem jakiś klient. Każdy teraz zna te historie, opowiada się o niej na wszystkich Terranskich Dworach Sektora Dziesiątego. Jeszcze dziesięć lat temu Gentlefem Brodie i jej syn mogli być nieznani. Teraz, kiedy należy do nich trzecia część Kogan-Bors-Wazalitz, o każdym znalezisku związanym z Largo Drift będzie głośno w całej galaktyce.

-Czy już wybrałeś rozbitka? Gentlefem?

Hume pokręcił głową. - Chłopiec. Mówi się, że był inteligentny i mógł zabrać ze statku podręcznik przetrwania. Mogł sam dorastać w dziczy nie odkrytej planety. Użycie kobiety wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

-Masz całkowitą rację. Ale będziemy potrzebowali niezwykle sprytnego sobowtóra.

-Chyba nie. - Chłodne spojrzenie Hume'a napotkało wzrok Wass. - Musimy tylko znaleźć

chłopca o odpowiednim wyglądzie fizycznym i poddać go warunkowaniu.

Wyraz twarzy Wassa nie zmienił się, nie dał najmniejszego znaku, że zrozumiał aluzję. Kiedy jednak przemówił, w jego beznamiętnym głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta.

-Zdaje się, że dużo wiesz.

-Jestem człowiekiem, który słucha - odparł Hume. - I nie zawsze traktuję plotki jako czyste wymysły.

-To prawda. Jako członek Gildii, musisz się interesować korzeniami faktu pod rośliną fikcji - zapewnił go Wass. - Zdaje się, że już opracowałeś jakieś plany.

-Od dawna czekałem na taką okazję - odpowiedział Hume.

-Ach tak. Fuzja Kogan-Bors-Wazalitz wzniciła twój gniew. Widzę także, że nie jesteś człowiekiem, który łatwo zapomina. Jakże ja to rozumiem. Sam mam taką słabość, Poszukiwaczu Ścieżek. Nie zapominam i nie wybaczam wrogom, choć po pozorach można mnie osadzać inaczej. Czas nie zmywa win, przed moją zemstą może uratować jedynie odległość.

Hume przyjął to ostrzeżenie - obydwaj muszą przestrzegać warunków umowy. Wass milczał przez chwilę, jakby zostawiał myśli czas, by się zakorzeniły, po czym przemówił ponownie.

-Młodzieniec o odpowiednich cechach fizycznych. Czy masz już takiego na uwadze?

-Chyba tak - odparł lakonicznie Hume.

-Beda mu potrzebne pewne wspomnienia; nagrywanie ich potrwa.

-Mogę dostarczyć te dotyczące Jumali.

-Tak. Będziesz musiał zacząć od tasiemy zaczynającej się od jego przybycia do tego świata. Ja przygotuję niezbędne materiały związane z jego rodziną. Interesujący projekt, niezależnie od korzyści, jakie może przynieść. Z pewnością zaintryguje ekspertów.

Eksperti od psychotechniki - Wass dysponował takimi. Ludźmi, którzy przekroczyli granice prawa i znaleźli schronienie w organizacji Wassa. Byli wśród nich psychotechnicy wystarczająco zdemoralizowani, by taki projekt bawił ich sam w sobie, bowiem wymagał przeprowadzenia zabronionych eksperymentów. Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, Hume czuł, że coś w nim wzbrania się przed realizacją planu. Zabił to uczucie wzruszeniem ramion.

-Kiedy będziesz chciał wykonać pierwszy ruch?

-A ile czasu zajma przygotowania? - spytał w odpowiedzi Hume, ponownie przemagając uczucie niepokoju.

-Trzy miesiące, może cztery. Trzeba przeprowadzić badania i przygotować taśmy.

-Minie prawdopodobnie sześć miesięcy, zanim Gildia zorganizuje safari na Jumali.

Wass uśmiechnął się. - Tym się nie powinniśmy kłopotać. Kiedy nadchodzi czas safari, zawsze pojawiają się klienci, klienci bez zarzutu, którzy domagają się, by zorganizowano dla nich łowy.

Hume wiedział, że tak też będzie. Wass miał swoje wpływy nawet tam, gdzie sam VIP był zupełnie nieznany. Tak, mogli liczyć na doskonałą grupę klientów, ludzi poza wszelkimi podejrzeniami, którzy w samą porę odkryją Ryncha Brodie.

-Mogę dostarczyć chłopca wieczorem albo wczesnym rankiem. Gdzie?

-Jestes pewien swojego wyboru?

-Spełnia wymagania, ma właściwy wiek i wygląd zewnętrzny. Chłopiec, za którym nie będzie tęsknic, żadnych krewnych, żadnych wiewów, i którego zniknięcie nie zrodzi żadnych pytań.

-Bardzo dobrze. Idź po niego i sprowadź tutaj natychmiast.

Wass przesunął dłoń po blacie stołu. Na czerwonym kamieniu przez kilka sekund jarzył się adres. Hume zapamiętał go, skinął głową. Centrum dzielnicy portowej, miejsce, które można było odwiedzić o najdziwniejszych porach bez wzbudzania czyjejkolwiek ciekawości. Wstał.

-Przyprowadzę go tam.

-Jutro, o dowolnej porze - dodał Wass - przyjdiesz w to miejsce. - Znowu poruszył dłoń i na stole pojawił się drugi adres.

-Tam zaczniesz prace nad taśmą. To będzie wymagało pewnie kilku sesji.

-Jestem gotów. Nadal czeka mnie przedstawienie długiego raportu Gildii, więc materiał jest wciąż na moich taśmach z notatkami.

-Znakomicie, Poszukiwaczu Ścieżek. Hume, oddaje pokłon nowemu towarzyszowi. - Prawa ręka Wassa wreszcie oderwała się od stołu. - Oby dopisało nam szczęście.

-Szczęście, które zaspokoi nasze pragnienia - uzupełnił Hume.

-Wiele mówiące stwierdzenie, Poszukiwaczu. Szczęście, które zaspokoi nasze pragnienia.

Tak, obysmy na nie zasluzyli.

2

"Roj Gwiazd" znajdował się na samym dole rankingu domów przyjemności w górnej dzielnicy. Tu także handlowano rozpustą, lecz nie tak egzotyczną, jakiej dostarczał Wass. Przeznaczano ją wyłącznie dla członków załóg gwiazdnych frachtowców, których można było szybko i wprawnie, w ciągu jednego wieczora, pozbawić zapłaty za ostatnią wyprawę. Zwodnicze aromaty tarasów Wassa redukowały się tutaj do zwykłych zapachów, z których większość wcale nie była wonna. Tego wieczora odbyły się już dwa śmiertelne pojedynki. Startowy z pogranicznego kutra pragnął zakończyć kłótnie z astrosztygarem za pomocą śmiertelnych bieży, wykonanych z ogonów latających jaszczurow z Flangoidu. W starciu obydwaj mężczyźni porozdzielali się nawzajem na strzepy; jeden umarł, a drugi znalazł się o włos od śmierci. Poza tym pewien zabijaka, były kosmonauta, spopielił blasterem jednego z graczy w "Gwiazdy i komety".

Młody człowiek, któremu kazano posprzątać tego drugiego, zrejterował do cuchnącej alei na zewnątrz budynku, by tam zwrócić posiłek, będący częścią jego skromnej, codziennej zapłaty. Po chwili z pozieleniałą twarzą, trzymając się ręką za brzuch, wślizgnął się ukradkiem do środka.

Był szczupły, delikatne kości jego twarzy ciasno opinała blada skóra, zebra widac było nawet przez lichej materiał wytartej tuniki, opatrzonej pieczęcią domu. Kiedy oparł głowę o inkrustowaną brudem ścianę i unosił twarz do światła, jego włosy nabrały jasnokasztanowego połysku. Mimo że pracował przy najbrudniejszych usługach, był nieomal nieskazitelnie czysty.

-Ty! Lansor!

Zadrzał, jakby przeniknął go lodowaty wiatr, i otworzył oczy. Wydawały się nieproporcjonalnie wielkie w porównaniu z resztą wychudłej, kościstej twarzy, miały dziwny odcień, ani zielony, ani niebieski.

-Rusz się wreszcie z miejsca! Nie po to ci płace gorami kredytek, żebyś tu siedział i udawał, że to ty placisz! - Salarkianin, którego groźna sylwetka całkowicie przesłoniła mu widok, mówił bezakcentowym, idiomatycznym kosmolektem, który wydobywał się dziwnie z zółtawych warg. Porosnięta futrem dłoń cisnęła w młodego człowieka szczotkę, szponiasty kciuk wskazał miejsce zastosowania tego cuchnącego przedmiotu. Vye Lansor podzwignął się z trudem i wziął kij do ręki, ponuro zaciskając zęby.

Ktoś upuścił dzban z kardo i ciemnofioletowy płyn rozlał się po kamiennej posadzce w takiej ilości, że o jej doczyszczeniu nie było co marzyć. Zabrał się jednak do pracy, hałasliwie trzaskając fredzlami szczotki, by zetrzeć tyle, ile się da. Zapach kardo w połączeniu z ogólną wonią pomieszczenia i przebywających w nim osób wzmógł jeszcze

bardziej jego mdlosci.

Pracowal w takim otepieniu, ze nie zauwazyl mezczyzny siedzacego samotnie w lozy, dopoki jego szczotka nie opryskala lydki jednej z pijacych dziewczat. Uderzyla go z calej sily w twarz i cisnela jakies przeklenstwo w mowie Altar-Ishtar.

Cios rzucil go na otwarta krata otaczajaca loze. Usilujac sie podniesc, zobaczyl znowu jakas zblizajaca sie do niego dlon, a potem palce oplatajace jego nadgarstek. Drgnal nerwowo i sprobował rozerwac uscisk, ale przekonal sie, ze jest wiezniem.

I gdy spojrzal w zdumieniu na swego dreczyciela, od razu dostrzegł jego odmiennosc. Gosc miał na sobie stroj pilota; jasniejsze patki naszyte w miejscu, gdzie powinny byc odznaki statku, wskazywaly, ze nie jest nigdzie zatrudniony. I chociaz tunika obcego byla nedzna i brudna, a magnetyczne buty podzielowane i bardzo zniszczone, w niczym nie przypominal pozostalych gosci bawiacych sie w "Roju Gwiazd".

-Czy ten... czy on szuka klopotow? - Przez tłum przeciskalo sie w ich strone ogromne cielsko Vorm-mana, który byl wyrocznia wewnetrznego prawa "Roju Gwiazd". Vorm-man, pelen ufności w swa sile, z ktora nikt tutaj, z wyjatkiem slepych, gluchych i pijanych do utraty zmyslow, nie odwazyl sie spierac, wyciagnal w strone Lansora obdarzona luskami i szponami, szesciopalca dlon. Chlopiec skulil sie ze strachu.

-Zadnych klopotow! - przemowil wladczym glosem czlowiek z lozy. Jego twarz, ktorej ostre rysy zaledwie kilka sekund wczesniej znamionowaly wielka inteligencje, zlagodniala nagle, a glos zmetnial, gdy mowil: - Znalazlem dawnego kumpla. Nie chce klopotow, tylko napic sie ze starym kumplem.

Jednakze uscisk reki, ktora pociagnal Vye'a do przodu, obrocil dookola i usadzil na lawie lozy, wcale nie byl lagodny. Vorm-man przeniosl wzrok z goscia "Roju Gwiazd" na najlichszego z pracownikow i usmiechnal sie szeroko, przysuwajac obdarzona klami szczeke do twarzy Lansora.

-Jak pan chce sie napic, ty nedzny szcurze, to bedziesz pil!

Vye przytaknal gorliwie i zaraz przylozyl dlon do ust, bojac sie, ze zoladek znowu go zdradzi. Zalekniony obserwowal odwracajacego sie Vorm-mana. Odetchnal dopiero wtedy, gdy szerokie, zielono-szare plecy zniknely w czelusciach zadymionej sali.

-Tutaj... - Uscisk na nadgarstku zelzal, a palce wlozily w jego dlonie kufel. - Pij!

Probowal protestowac, wiedzac, ze to i tak bezcelowe, i oburacz przylozyl kufel do warg, smakujac z tepa rozpacza palacy plyn. O dziwo, ciecz, zamiast na powrot wywolac mdlosci, uspokoila jego zoladek i rozjasnila umysl, dzieki czemu udalo mu sie uwolnic od napiecia, ktorym przepelnily go godziny spedzone w "Roju Gwiazd".

Oprozniwszy kufel do połowy, odwazyl sie spojrzec na siedzacego naprzeciwko niego mezczyzne. Tak, to nie byl zwykly marynarz i wcale nie tak pijany, jak udawal przed Vormmanem. Obserwowal teraz klebiacy sie tłum nieco roztargnionym wzrokiem, choc Vye byl pewien, ze rejestruje kazdy jego ruch.

Dopil reszte plynu. Po raz pierwszy, odkad dwa miesiace temu przybyl do tego miejsca, czul sie jak prawdziwy czlowiek. I na tyle zachowal czujnosc, by wiedziec, ze plyn, ktory dopiero co przelkнал, zawiera jakis narkotykek. Tyle ze teraz wcale go to nie obchodzilo. Cokolwiek, co potrafilo w przeciagu kilku chwil wymazac caly ten wstyd, strach i mdlaca rozpacz, ktore rodzil pobyt w "Roju Gwiazd", bylo warte przelknienia. Dlaczego ten czlowiek go zanarkotyzowal, pozostawalo tajemnica, ale z zadowoleniem oczekiwal na oswiecenie.

Towarzysz Lansora raz jeszcze schwycil w zelazny uscisk kosciste ramie mlodego czlowieka i wyszli razem z "Roju Gwiazd" w chlod ulicy. Dopiero gdy mineli caly kwartal, przewodnik Vye'a zatrzymal sie, nie puszczajac jednak swego wieznia.

-Na czterdziesti imion Dugora! - zaklal.

Lansor czekal, oddychajac powietrzem wczesnego poranka. Wciaz czul pewnosc siebie, uzyskana dzieki narkotykowi. W tym momencie byl pewien, ze nic nie jest gorsze od tego zycia, ktore zostawil za soba. Zapragnal dowiedziec sie, czego moze od niego chciec dziwny gosek "Roju Gwiazd".

Mezczyzna nacisnal przycisk, wzywajacy taksowke powietrzna i stali jeszcze chwile czekajac, az kopter wyladuje na pokladnicy.

Z siedzenia pojazdu Vye zauwazyl, ze kieruja sie do szacownej gornej dzielnicy, polozonej daleko od niepokoju, jakimi dzwieczal port wyrzutowy. Probowal odgadnac powod lub cel ich lotu, choc i tak nie mialo to zadnego znaczenia. Potem kopter wyladowal.

Obcy skinieniem dloni nakazal Lansorowi wejsc w jakies drzwi, potem przez krotki korytarz przeszli do prywatnego mieszkania. W srodku Vye z ulga usiadl na piankowym siedzeniu wystajacym ze sciany i rozejrzal sie dookola. Mgliscie przypominal sobie rownie luksusowo urzadzone pokoje, lecz to wspomnienie bylo tak niewyrazne, ze nie byl pewien, czy nie zrodzilo sie w jego wyobrazni. To dzieki wyobrazni bowiem udalo sie Vye'owi przetrwac najpierw nudna egzystencje w Panstwowym Sierocincu, a potem znaleziona, mu przez panstwo prace, ktora zreszta stracil, poniewaz nie potrafil sie przystosowac do zmechanizowanego trybu zycia operatora komputerowego. Wyobraznia byla kotwica i jednoczesnie ucieczka, kiedy tonal w glebinach portu kosmicznego, by wreszcie osiasc w "Roju Gwiazd".

Przyciskal teraz obie dlonie do miekkiego siedzenia i wpatrywal sie w wiszacy na scianie maly hologram, ktory przedstawial miniaturowa scenke z zycia na innej planecie: jakies stworzenie porosniete futrem w bialo-czarne paski pelzlo na brzuchu, podkradajac sie do

dlugonogich i krotkoskrzydlych ptakow tworzacych czerwone jak krew plamy na tle zoltych trzciny pod jasnofioletowym niebem. Vye delektowal sie tymi barwami, poczuciem wolnosci i cudow obcych planet, z ktorymi kojarzyl mu sie ten obraz.

-Jak sie nazywasz?

Niespodziewane pytanie obcego sprowadzilo go z powrotem nie tylko do tego pomieszczenia, lecz rowniez do jego wlasnej, niejasnej sytuacji. Oblizal wargi, pewnosc siebie gdziez zniknela.

-Vye. Vye Lansor. S.C.C. 425061 - dodal jeszcze swoj numer identyfikacyjny.

-Sierota na utrzymaniu panstwa, tak? - Mezczyzna nacisnal guzik, by dostac kubek z jakimis orzezwiajacym plynem, po czym wolno wypil zawartosc. Nie zamowil drugiego dla Vye'a. - Rodzice?

Lansor pokrecil glowa.

-Zostalem tu przywieziony po epidemii Goraczki Pieciu Godzin. Nie prowadzili zadnych rejestrow, bylo nas zbyt wielu.

Mezczyzna wpatrywal sie w niego ponad krawedzia kubka. W jego wzroku obecny byl jakis chlod, cos, co gasilo przyjemne uczucie, ktore Vye odczuwal zaledwie kilka chwil wczesniej. Mezczyzna odstawil naczynie, przeszedl na druga strone pomieszczenia. Ujawszy podbrodek Lansora, uniosl jego glowe w sposob, ktory wzbudzil ponura zlosc w mlodszy mierzynie. Cos jednak podpowiadalo mu, ze, opor moze tylko spowodowac klopoty.

-Najprawdopodobniej rasa terranska, zapewne dopiero w drugim pokoleniu. - Mowil bardziej do siebie niz do Vye'a. Puscil podbrodek chlopca, lecz nadal stal przed nim, mierzac go od stop do glow. Lansor mial ochote zapasc sie pod ziemie ze wstydu, lecz zwalczyl w sobie to uczucie; udalo mu sie nawet wytrzymac przez chwile badawcze spojrzenie obcego.

-Nie, nie jestes zwyklym wykolejencem. Mialem racje.

-Znowu spojrzal na Vye'a, lecz tym razem w jego wzroku pojawilo sie cos w rodzaju niechetnego zainteresowania dla osoby chlopca, jakby dopiero teraz zorientowal sie, ze tamten naprawde zywi jakies mysli i emocje. - Chcesz prace? Lansor wpił palce w piankowe siedzenie.

-Prace... Jaka prace?

Byl zly i zawstydzony z powodu zdradliwego zalamania w glosie.

-Masz jakies skrupuly?

Obcy wygladal na rozbawionego. Vye poczerwienial, gdy zorientowal sie, ze mezczyzna w zniszczonym uniformie kosmicznym tak latwo zinterpretowal jego wahanie. Czlowiek, ktorego zabrano z "Roju Gwiazd", nie powinien wypytywac o szczegoly takich propozycji. Sam nawet nie wiedzial, dlaczego go to interesuje.

-Nic nielegalnego, zapewniam cie. - Mezczyzna odstawil kubek do pustej szczeliny. - Jestem Poszukiwaczem Sciezek.

Lansor zamrugal. Cala ta sprawa spowita byla w fantastyczna, jakby oniryczna aure. Mezczyzna przypatrywal mu sie ze zniecierpliwieniem, wyraznie oczekujac jakiej reakcji.

-Moge ci pokazac moje listy uwierzytelniajace, jesli chcesz.

-Wierze ci - wreszcie wydobyl z siebie glos Vye.

-Tak sie sklada, ze potrzebuje chlopca do noszenia sprzetu. To nie moze byc prawda! Przeciez cos takiego nie moglo sie przydarzyc jemu, Vye'owi Lansorowi, sierocie wychowanemu przez panstwo, najposledniejszemu poslugaczowi z "Roju Gwiazd". Takie rzeczy sie nie zdarzaja, chyba ze podczas transu thalinowego, ale on przeciez nie zazywal tego narkotyku! To sen, z ktorego czlowiek nie chce sie budzic, szczegolnie jesli zycie cisnelo go na samo dno piekla, jakim jest port.

-Chcesz sie zaciagnac?

Vye desperacko usilowal zachowac kontakt z rzeczywistoscia, nie tracic przytomnosci umyslu. Pomocnik Poszukiwacza Sciezek! Ilu ludzi zaplaciloby ogromne pieniadze za szanse zdobycia takiego stanowiska! Zwykly poslugacz z portowej knajpy po prostu nie mogl zostac pomocnikiem lowcy z Gildii. Obcy jakby czytal w jego myslach.

-Posluchaj - przemowil nagle. - Sam przezyłem ciezkie chwile, wiele lat temu. Przypominasz mi kogos, komu Jestem cos dluzny. Nie moge mu zaplacic, ale w ten sposob moge choc w niewielkim stopniu wyrownac szale.

Wyrownac szale... Slabnace nadzieje Vye'a rozkwitly ponownie. A zatem Poszukiwacz Sciezek jest wyznawca Rytu Losu. To wszystko wyjasnia. Czlowiek, który nie moze odplacic dobrego uczynku, musi znalezc inny sposob na wyrownanie Wiecznych Szal. Znowu sie odprezyl, znalazlszy wreszcie odpowiedz na tyle pytan, ktorzych nie odwazyl sie zadac na glos.

-Zgadzasz sie?

Vye przytaknal skwapliwie.

-Tak, Poszukiwaczu Sciezek.

Nadal nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Lowca nacisnął guzik i tym razem wręczył kubek z parującym płynem Lansorowi.

-Napij się z okazji zawarcia umowy.

W jego słowach pobrzmiwał rozkaz.

Lansor przełknął zawartość kubka i nagle poczuł, że jest zmęczony. Zamknawszy oczy, oparł się o ścianę. Ras Hume wyjął kubek z bezwładnych palców młodego człowieka. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Szczęście wydawało się zasiadać po jego stronie planszy. Ciągle to samo szczęście, które trzy dni temu, kiedy szukał swojego sobowtóra, skierowało go do "Roju Gwiazd". Vye Lansor był lepszy, niż mógł sobie zamarzyć. Miał właściwą barwę skóry, a los obszedł się z nim wystarczająco nielaskawie, by teraz podlegał łatwym manipulacjom. A kiedy popracują nad nim technicy Wassi, stanie się Rynchem Brudie - spadkobiercą jednej trzeciej majątku Kogan-Bors-Wazalitz!

-Chodź!

Dotknął ramienia Vye'a. Chłopiec otworzył oczy, ale kiedy powoli wstawał, jego spojrzenie pozostawało nieostre. Hume

zerknął na swój zegarek wskazujący czas planetarny. Nadal było bardzo wczesnie; szansa, że uda mu się niepostrzeżenie wyprowadzić Lansora z tego budynku, zmniejszyła się, jeśli nie wyjdą natychmiast. Lekko scisnąwszy młodszego mężczyznę za łokieć, wyprowadził go z powrotem na platformę, na której czekała już na nich powietrzna taksówka. Uczucie, że jest hazardzista, któremu sprzyja szczęście, wzbierało na sile, gdy wprowadzał chłopca do koptera, wystukiwał na konsoli cel lotu i startował.

Na następnej ulicy przeniósł się wraz ze swym pasażerem do drugiego pojazdu i wystukał adres podany mu przez Wassi. Nieco później wprowadził Vye'a do niewielkiego hallu, w którym wisiała niepozorna tablica ze spisem lokatorów. Hume zauważył, że obok kolorowych napisów nie podano żadnych profesji. To oznaczało, że właściciele mieszkań należą do tak ekskluzywnych środowisk, że samo nazwisko nieodwołalnie kojarzy się z wykonywanym zawodem lub usługą, albo że są to tylko kryptonimy - być może zresztą jedno i drugie. Wass obracał się w najrozmaitszych kregach, wśród ludzi najdziwniejszych profesji, zapewniających wygodę, rozrywkę albo zdrowie próżniaczym bogaczom, międzyplanetarnej szlachcie i elicie przestępczej.

Hume dotknął palcami właściwego guzika, wiedząc, że wzór kciuka, który odcisnął na stole konferencyjnym Wassi, został już; tutaj naniesiony w celu umożliwienia mu wstępu. Pod nazwiskiem zamrugano światelko, ściana po prawej stronie zalsnęła i po chwili ukazały się w tym miejscu drzwi. Puszczając przodem Vye'a, Hume skinął głową czekającej tam postaci. Płaskotwarzy Eukorianin z kasty służących wyciągnął rękę, by przeprowadzić

Lansora przez prog.

-Zabieram go, szlachetny panie.

Jego głos był równie pozbawiony wyrazu jak twarz. Sciana ponownie zalsnila i drzwi zniknely.

Hume potarl dlonia zewnetrzna strone uda, otartego przez szorstka tkanine uniformu. Wyszedl z hallu; niewesole myslki placzace mu sie po glowie wywoływaly na twarzy nieprzyjemny grymas.

Glupiec! Poslugacz z najgorszej szcurzej nory w porcie. Przeciez ten chlopak moglby nie przezyc najblizszego roku, bo jakis pijak z blasterem przerobilby mu mozg na owsianke, a ciało usmazyl jak frytkę. To byla prawdziwa uprzejmosc danie mu szansy na przyszlosc, o jakiej zaledwie jeden czlowiek na milion mogl kiedykolwiek marzyc. Gdyby Vye Lansor wiedzial, co sie z nim stanie, tak by sie rwal do tego zadania, ze sam by tu pewnie przywlokl Hume'a. Nie ma powodu litowac sie nad tym chlopcem, nigdy dotad tak mu sie nie wiodlo - nigdy! Zycie Vye'a bedzie zagrozone bardzo krotko, tylko przez te dni. ktore spedzi samotnie na Jumali, od chwili, kiedy pozostawi go tam organizacja Wassa, do nadejscia grupy Hume'a. ktora go "wyratuje". Sam Hume zapewni wszelkie srodki, ktore go wspomoga w tym okresie. Rynch Brodie przejdzie szkolenie, niezbedne do przetrwania w dziczy, uzupelnione o cala wiedze Poszukiwacza Sieczek Gildii i wszelkie informacje zebrane na tej planecie przez zwiadowcow. Hume kroczył ulica znacznie pewniejszym krokiem, a w myslach sporzadzal juz liste najwazniejszych dzialan.

3

Z poczatku byl swiadom tylko tepego bolu przepelniajacego czaszke. Kiedy obrocil glowe, wciaz nie otwierajac oczu, poczul, ze jego policzek ociera sie o cos miękkiego, a w nozdrzach zawiercil go jakis szczypiacy zapach. Otworzył oczy i zapatrzył sie na bezchmurne, niebiesko-zielone niebo ponad krawedzia ulamanej skaly, informacje dostarczone przez zmysly otworzily jakby furtke w glebi jego umyslu.

To oczywiste! Usilowal wywabic zuchwacza z jego nory za pomoca przynety na haczyku, ale omsknela mu sie stopa. Rynch Brodie usiadl, naprezyl nagie, szczuple ramiona i na probe poruszył swymi dlugimi nogami. Na szczescie niczego sobie nie polamal. Ale nadal sie krzywil. Dziwne - tamten sen, ktory zupełnie nie pasowal do jego obecnej sytuacji.

Dopelznil do brzegu potoku, zanurzyl glowe i ramiona w wodzie, pozwalajac, by chlod strumienia splukal choc czesc oszolomienia, w ktore popadl po przebudzeniu. Otrzasnal krople, ktore osiadly na jego odkrytym torsie i ramionach, a potem odszukal swoj sprzet myśliwski.

Stal przez chwile, obmacujac palcami wszystkie elementy swego skapego ekwipunku i wspominajac, ile ciezkiego znoju kosztowalo go zdobycie kazdego mieszka, pasa czy

skrawka tkaniny. Nadal jednak czuł się jakos dziwnie, jakby te rzeczy wcale do niego nie należały.

Rynch potrzasnął głową i otarł ramieniem mokra twarz. Z całą pewnością to wszystko należało do niego, każda rzecz. Miał szczęście, podręcznik przetrwania z kapsuły powiedział mu w zarysie, jak powinien postępować, a ten świat nie okazał się wcale taki nieprzyjazny - o ile było się przygotowanym na trudności.

Wspiał się wyżej, złuzował sieć, zwijając jej faldy w jednej dłoni, druga chwycił wlocznie. W oddali zaszelescił jakiś krzak, targany lekkimi podmuchami wiatru. Rynch zastygł w miejscu, potem uchwycił drzewce wloczni drugą dłonią, sieć osunęła się na ziemię. Wtem odgłos szumiącej wody przerwał natarczywe warczenie.

Szkarłatna plama, która skoczyła mu do gardła, zaplatała się w sieć. Rynch dwukrotnie uderzył zwierze wlocznia, pozbawiając je równowagi. Kot wodny z tegorocznego miotu. Zdychał, ryjąc niezwykle długimi pazurami głębokie bruzdy w ziemi i piasku. Jego ślepią, prawie tego samego odcienia, co futro porastające długi tułów, spojrzały na niego z przedśmiertną wrogością.

Rynch patrzył, na nowo opanowany uczuciem, że obserwuje coś dziwnego, całkowicie mu obcego. A przecież polował na koty wodne od wielu sezonów. Na szczęście stworzenia te wiodły samotniczy tryb życia, w ramach oznaczonych terytoriów, broniąc ich przed innymi przedstawicielami swego gatunku, i dlatego podczas swoich wędrowek stosunkowo rzadko je spotykał.

Zatrzymał się, by wyplatać sieć ze sztywniejących już łap. Miał dotrzeć do jakiegoś określonego miejsca. Nagły impuls nakazujący mu iść do przodu przekształcił tępy ból, nadal dreczący jego skronie, w uporczywe pulsowanie. Zsunął się w dół na czworakach, raz jeszcze podszedł do strumienia; opryskał twarz i napił się wody ze stulonych dłoni.

Chwiał się, przykładając mokre dłonie do oczu i wbijając palce w skronie, by złagodzić ból eksplodujący we wnętrzu czaszki. Siedzi w jakimś pomieszczeniu, pije coś z kubka... cien obrazu nałożył się na rzeczywistość otaczającą go sytuację, na strumień, skały i zarośla. Siedział w jakimś pomieszczeniu, pił coś z kubka - to było ważne!

Ostry, palący ból sprawił, że wizja zniknęła. Spojrzał w dół. Pod zwirem i kamieniami zbierała się armia niebiesko-czarnych stworzeń o twardych skorupkach. Wszystkie kierowały się w stronę martwego kota, rozcapierzając szponiaste odnóża i naprezając niebieskie czułki, osadzone na miesistych precikach.

Rynch zerwał się do biegu i wskoczył do rzeki. Gdy woda sięgała mu już do kolan, wyrwał z rany na łydce dwa jadowite insekty. Kolumna ich towarzyszy niczym czarny jezioro lizła już bok rudego zwierzęcia. Za kilka chwil z padliny zostaną tylko idealnie oczyszczone kości.

Rynch podniósł wlocznie i sieć, najpierw zanurzył je w wodzie, by zmyć insekty, potem

pospiesznie przeszedł na drugi brzeg potoku, pozostawiając krwawe widowisko za sobą. Jakis czas później przepłoszył czteronożne stworzenie kryjące się między kamieniami i zabił je jednym ciosem włóczni. Obdarł zdobycz ze skóry, czując pod palcami jej fakturę. Nadzwyczaj szorstka, może to szczatkowe luski? Zagadka zaczynała dreczyć go na nowo.

Kiedy pogrążony w bolesnej zadumie piekł w ognisku suche, szarawe mięso, nabite na zastrzony kij, czuł, że jakas część jego umysłu bardzo dobrze wie, jakie zwierze zabił. Lecz gdzieś w glebi krył się ktoś inny, ktoś, kogo nie znał, stojący na uboczu i przypatrujący się wszystkiemu ze zdumieniem.

Nazywa się Rynch Brodie. Razem z matką odbywał podróż statkiem typu Largo Drift.

Pamięć automatycznie podsunęła mu obraz szczupłej kobiety, jej wąska, raczej nieszczęśliwa twarz, skret skomplikowanej fryzury ozdobionej drogimi kamieniami. Stało się coś złego - wspomnienie nie było już dokładne, lecz chaotyczne. A kiedy próbował je odtworzyć dokładniej, zaczynała boleć go głowa. Potem kapsuła ratunkowa i jakis towarzyszący mu mężczyzna...

-Simmons Tair!

Śmiertelnie ranny oficer. Umarł zaraz po wylądowaniu kapsuły ratunkowej na tej planecie. Rynch wyraźnie pamiętał, jak układał stos kamieni na wykreconym ciele Taita. Został wtedy zupełnie sam, tylko z podręcznikiem przetrwania i pewną ilością zapasów z kapsuły. Najważniejsze było nigdy nie zapomnieć, że jest Rynchem Brodie.

Zlizał tłuszcz z palców. Od bólu w głowie zrobił się senny. Zwił się na wygrzonym przez słońce piasku i zasnął.

Czy na pewno? Znowu otworzył oczy. Niebo ponad nim przestało już być misą pełną światła, stanowiło jakby milcząca aureole wieczoru. Usiadł, a serce waliło mu tak szybko, jakby chciało się scigać z coraz to silniejszym wiatrem, napierającym na jego skapoczone ciało.

Co on tutaj robi? Co znaczy "tutaj"?

Panika towarzysząca przebudzeniu wysuszyła mu usta, utwardziła skórę, zwilżyła wnętrza dłoni wbite bolesnie w piasek. W strumień myśli wdarł się mało wyraźny obraz - siedział w jakimś pomieszczeniu i patrzył na mężczyznę podchodzącego do niego z kubkiem. A przedtem przebywał w jakimś miejscu, przepelnionym smrodem i oslepiającym światłem.

Był jednak Rynchem Brodie, przybył tu w kapsule ratunkowej jeszcze jako mały chłopiec, pogrzebał oficera ze statku pod stertą kamieni, a samemu udało mu się przeżyć, ponieważ nauczył się, jak to robić z podręcznika znalezionej w łodzi. Tę ranką polował na zuchwacza, wywabiając go z kryjówki za pomocą haka, liny i przynęty ze świeżo złowionej ryby latającej.

Czolgala sie z twarza ukryta w dloniach. To wszystko jest prawda, moze to udowodnic - udowodni to! Tam jest nora zuchwacza, gdzie na tym wzniesieniu, na ktorym zostawil wlocznice, zlamana podczas upadku. Jezeli uda mu sie znalezc nore, wowczas upewni sie co do realnosci calej reszty.

Dopiero co mial bardzo rzeczywisty sen - ha! Tylko dlaczego stale mu sie sni pokoj, czlowiek i kubek, a takze miejsce pelne swiatel i smrodow, ktorego nienawidzil tak bardzo, ze ta nienawisc przywolala kwasny posmak w jego wyschnietych ustach? Nic z tego nigdy nie nalezalo do swiata Ryncha Brodiego.

O zmierzchu zaczal zawracac korytem rzeki w strone waskiej, malej doliny, w ktorej obudzil sie po upadku. Znalazl wreszcie schronienie w srodku jakiegos krzaka, przykuczal i nasluchiwal odglosow tego drugiego swiata, ktory budzil sie noca, przejmujac panowanie nad planeta.

Brnal z powrotem, zwalczajac panike, poniewaz pojal, ze czesc tych odglosow jest w stanie bez trudu zidentyfikowac, lecz inne pozostaja tajemnica. Gryzl klykcie zacisnietych piesci, starajac sie znalezc wytлумaczenie dla tego odkrycia. Skad wiedzial od razu, ze cichy, niesamowity lament wydaje stworzenie obdarzone skorzastymi skrzydlami, zyjace wsrod galezi drzew, natomiast zrodlo chrapliwego pochrzakiwania, dobiegajacego znad rzeki, bylo mu zupełnie obce?

-Rynch Brodie, largo drift, Tait...

Poczul zapach krwi plynacej z reki, ktora skaleczyl wlasnymi zebami, kiedy recytowal te formule. I nagle poderwal sie na rowne nogi. W pospiechu zaplatal sie w siec, upadl i rozbil sobie glowe o wystajacy korzen.

W kryjowce w krzaku nie dopadlo go nic namacalnego. Jednakze to, co istotnie odwazylo sie wyjsc z ukrycia, nie bylo substancja, dla ktorej jego gatunek mial nazwe. Nie ciało, nie umysl - byc moze cos zblizonego do obcej emocji.

Nawiazywalo kontakt ukradkiem, choc bez zadnych obaw, przeprowadzalo badania na swoj wlasny sposob. Po chwili wycofalo sie, by zlozyc sprawozdanie. A poniewaz to, przed czym skladalo raport, dzialalo z wzorcem nie zmienianym od stuleci, jego jedyna odpowiedzia bylo potwierdzenie wstepnej komendy. Kontakt zostal nawiazany ponownie, cos bezowocnie dazylo do wykonania rozkazu. Tam, gdzie winno bylo znalezc latwe przejście, czysty kanal, ktorym mogloby wnिकnac do umyslu spiacego, znalazlo bezład wrazen, tak ze soba splecionych, ze ostatecznie funkcjonujacych jako bariera ochronna.

Intruz dlugo usilowal znalezc jakis wzor albo centralne znaczenie, lecz zbity z tropu wycofal sie w koncu. Jednakze jego wtargniecie, rownie upiorne jak on sam, poluznilo istniejacy tam wezel, oczyscilo przejście.

Rynch budzil sie o swicie, powoli, ze zdumieniem, porzadkujac dzwieki, zapachy i mysli.

Był tam pokój, mezczyzna, kłopot i strach, a potem on sam, Rynch Brodie, od dawna mieszkający w dziczy tego granicznego świata, dla którego nie opracowano jeszcze żadnych map. Ten świat otaczał go teraz, czuł więcej po nim wichry, chłonał jego dźwięki, smaki, zapach. To nie sen - tamto jest snem. Nie może być inaczej!

Udowodnić to. Znaleźć kapsułę ratunkową, znaleźć szlak, który wczoraj zawiodł go do miejsca upadku, od którego to wszystko się zaczęło. Właśnie tam jest to zbocze, z którego się sturlał. Na jego szczycie znajdzie nory, do której prawdopodobnie zaglądał w chwili, gdy nastąpił wypadek.

Tylko że... nie potrafi jej znaleźć. Jego umysł utworzył szczegółowy obraz okrągłej jamy, na dnie której dostrzegł zuchwacza. Kiedy jednak dotarł do zwińczenia urwiska, nigdzie nie znalazł kopca ziemi wyrzuconej poza brzeg nory. Szukał starannie, kierując się na północ i południe. Ani śladu nory. A przecież pamięć podpowiadała mu, że wczoraj była tu nora.

Czy on spadł z jakiegoś innego wzniesienia, a potem, oszolomiony, zatoczył się i spadł dalej?

Jakis kłotliwy głos w jego wnętrzu powiedział mu, że tak nie było. Tam właśnie wczoraj odzyskał przytomność, ale tam przecież nie ma żadnej nory!

Odwrocił wzrok od rzeki, głęboko wciągnął powietrze. Żadnej nory - czyżby nie było też żadnej kapsuły ratunkowej? Jeżeli spadł tutaj z innego zbocza, to przecież musiał zostawić ślady. Znalazł zmiądzoną pod jakimś ciężarem, zbrązowiałą roślinę. Pochylił się, by dotknąć zwiedłych liści. Coś szło w tym kierunku. Będzie się cofał po śladach. Zaczął uważnie patrzeć pod nogi.

Pół godziny później nie znalazł nic prócz jakichś dziwnych, nieomal niewidocznych śladów w gietkiej trawie. Na ich podstawie niczego nie potrafił wywnioskować.

Wiedział, gdzie jest, choć nie wiedział, jak się tu dostał. Kapsuła ratunkowa - jeśli rzeczywiście istniała - wylądowała na zachód od miejsca, w którym się znajdował. W jego myślach wykrystalizował się wyraźny obraz raketowego kształtu, srebrzystych niegdys boków, zmatowiałych pod działaniem atmosfery, zaklinowanych między drzewami. Odszuka ją!

Pod poziomem świadomości podlegającej podmiotowej kontroli znowu coś się poruszyło. Znowu próbowano nawiązać z nim kontakt, testowano go. Niewidoczny las nawoływał łagodnie swoim obcym zaspiewem. Ryncha załazy wizje drzew, odległe pragnienie dostrzeżenia tego, co spoczywa w ich cieniu. Na razie miał inny problem. To, co go przywoływało, zostało pokonane, odepchnięte jego obojętnością. I kiedy Rynch rozpoczął swą wędrówkę na wschód, bardzo daleko od tego miejsca wszedł w drugą fazę procesu stanowiącego rodzaj transmisji informacji. Przesłano rozkaz uaktywniający impulsy.

Krazacy wysoko ponad planetą Hume obrócił tarczę, wywołując na ekranach obraz

szerokich pasm kontynentów i plamek niewielkich morz. Wyladują na zachodzie. Klimat, cechy topograficzne i powierzchnia tamtych terenów sprzyjały ich celom. Poza tym kierował się podanymi mu przez władze Gildii współrzędnymi miejsca, w którym mieli rozbic swój oboz.

-Oto Jumala.

Nawet nie spojrzął za siebie, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarł ten widok na pozostałych czterech uczestnikach wyprawy. Za wszelką cenę starał się zachowywać normalnie, nie chcąc obudzić podejrzeń, które mogłyby zniweczyć cały plan. Wass na pewno maczał ręce w doborze klientów, co nie znaczyło, że można im było zaufać. Ich rola polegała na ubezpieczeniu całego przedsięwzięcia.

Sam Wass zagwarantował sobie lojalność Hume'a, kazać mu zatrudnić swojego człowieka w charakterze pomocnika. Poszukiwacz Ścieżek nie miał o to do niego pretensji, bowiem doceniał w swoim kontrahencie sprawność, z jaką ten zabezpieczał się przeciwko wszelkim ewentualnym zagrożeniom, które mogły stanąć na drodze realizacji ich wspólnych planów.

Świt oświetlił już najwyższe szczyty zachodniego kontynentu. Mieli wylądować w odległości jednego dnia drogi od porzuconej kapsuły ratunkowej. Pierwsza wyprawa ruszy właśnie w tym kierunku. Nie należało dążyć bezpośrednio w stronę wraka, ale istnieje wszakże wiele sposobów kierowania trasą safari.

Dwa dni wcześniej, w myśl ustalen planu, porzucono na tym obszarze półprzemyślnego rozbitka. Wiązało się z tym pewne ryzyko, ponieważ uzbrojono go tylko w zwykłą ręczną broń, ale przecież całe to przedsięwzięcie było ryzykowne.

Wylądowali - dokładnie w wyznaczonym miejscu. Hume pilnował wylądunku oraz rozruchu maszyn i urządzeń, które miały chronić jego klientów i służyć im. Przykrecił zawór przy ostatnim nadmuchiwanej namiocie i przypatrywał się krytycznie, jak niewielki zwoj tkaniny zmienia się w szczelny, jednokomorowy, klimatyzowany i ogrzewany schron.

-Wszystko gotowe i czeka, aż się wprowadzisz, szlachetny panie - poinformował małego człowieka, który stał i przypatrywał mu się wzrokiem dziecka, zafascynowanego wszystkim, co nowe i niezwykle.

-Bardzo pomysłowe, łowco. Ach, a co to takiego?

W jego głosie brzmiało podniecenie, a palcem wskazywał na wschód.

4

Zaalarmowany tym okrzykiem Hume podniósł głowę. Istniała niewielka szansa, że "Brodie" mógł być świadkiem lądowania i być może iść teraz w ich stronę. Takie spotkanie z rozradowanym rozbitkiem mogło im zaoszczędzić mnóstwo czasu i zachodu. We wskazanym

kierunku nie dostrzegł jednak nic takiego, co zasługiwałoby na jakąkolwiek uwagę. Odległe góry tworzyły surowe, granatowe tło. Ich podnóża i niższe zbocza porastały drzewa o liściach tak ciemnych, jakby pochłonęły całą czern okolicy. A na równinie jasniejsza, niebieskawa zielenia rozposzcierał się las, złożony z drzew innego gatunku, otaczając otwarty teren nad rzeką. Gdzieś tam była kapsuła ratunkowa.

-Nic nie widzę! - rzucił tak ostrym tonem, że mały człowieczek spojrzal na niego z nie skrywanym zdziwieniem. Hume zmusił się do przelotnego uśmiechu.

-Co z tam zobaczył, szlachetny panie Starns? W lesie nie ma grubej zwierzyny.

-To nie było zwierze, lowco. Raczej błysk światła, mniej więcej tam. - Ponownie wskazał kierunek.

Promień słońca - pomyślał Hume. Mogł się odbić od jakiejś metalowej części kapsuły ratunkowej. Uważał, że tak małego statku kosmicznego, całkowicie osłoniętego pnączami i drzewami, nie da się wypatrzeć. Niemniej jednak burza mogła go pozbawić częściowo naturalnego maskowania. Skoro Starns tak bardzo pragnie zaspokoić swoją ciekawość, to czemu nie? On może zostać odkrywca.

-Dziwne. - Hume wyciągnął lornetkę. - Gdzie to dokładnie było, szlachetny panie?

-Tam. - Starns posłusznie wskazał po raz trzeci. Jeżeli rzeczywiście coś tam było, to zdążyło już zniknąć.

Jednakże kierunek był właściwy. Przez chwilę Hume poczuł się niepewnie. Wszystko wydawało się toczyć aż za dobrze i to właśnie zrodziło w nim nieufność.

-Może to promień słońca - zauważył.

-Myślisz, że odbił się od jakiegoś przedmiotu, lowco?

Ale ten błysk był bardzo jasny. A tam przecież nie może być żadnej lustrzanej powierzchni, nieprawdaz?

Tak, wszystko działo się zbyt szybko. Hume musiał bardzo uważać, by żaden z amatorów safari nie dowiedział się za wcześnie o kapsule ratunkowej z largo drift. Kiedy ją wreszcie znajdzie i odkryje istnienie Brodiego, prawnicy podniosą rabin. Tożsamość rozbitka zostanie zakwestionowana przez kilku dalekich i niezbyt przepadających za nim krewnych. Odbędzie się intensywne śledztwo. Ci ludzie muszą być bezstronnymi świadkami.

-Nie, nie uwierzę w lustro w nie zamieszkanym lesie, szlachetny panie - zaśmiał się. - Jednakże jesteśmy na planecie myśliwskiej i nie wszystkie występujące na niej formy życia zostały już sklasyfikowane.

-Czy masz na myśli jakas rasę inteligentnych tubylców, lowco?

Podszedł do nich Chambriss, najbardziej wymagający członek grupy. Hume potrząsnął głową.

-Na światach myśliwskich nie ma inteligentnych tubylców, szlachetny panie. To się sprawdza, zanim planeta zostaje wciągnięta na listę nadających się do safari. Jednakże mogą tu żyć ptaki albo jakies inne latające stworzenia, obdarzone metalicznym upierzeniem lub łuskami, w których przegładają się promienie słońca. To było właśnie coś takiego.

-Ten blask był zbyt silny - odparł Starns z wątpliwością w głosie.

-Sprawdzimy to później.

-Nonsens! - wykrzyknął Chambriss, wyraźnie nawykły do dominacji we wszelkich dyskusjach. - Przybyłem tu po kota wodnego i będę miał kota wodnego. On nie żyje w lasach.

-Wszystko odbędzie się zgodnie z planem - obwiescił Hume. - Każdy z was podpisał kontrakt na inne trofeum. Ty na kota wodnego, szlachetny panie Chambriss. A ty, szlachetny panie Starns, chcesz mieć hologram smoka sztolniowego. Natomiast Yactisi życzyłby sobie polować z elektrycznym harpunem na głębokich wodach. Każdego dnia będziemy szukać na przemian czego innego, tak będzie najbardziej sprawiedliwie. I kto wie, może któryś z was znajdzie wybraną przez siebie zwierzyne w pobliżu stanowiska drugiego.

-Masz całkowitą rację, lowco - zgodził się Starns. - A ponieważ dwaj moi towarzysze chcieliby zapolować na stworzenia wodne, to może powinniśmy zacząć od rzeki.

Minęły dwa dni, zanim weszli do lasu. Hume czuł, że coś w nim protestuje, lecz bardziej ostrożna część jego umysłu uspokoiła się. Widział, ponad głowami trzech klientów, wywracających i sortujących zawartość swych toreb, człowieka Wassę, obserwującego na przemian to ściąganie lasu, to Starnsa. A będąc człowiekiem niezwykle czujnym, bez wątplenia zastanawiał się, ile tak naprawdę dostrzegł Starns.

Oboz rozбитý nie opodal statku składał się z siedmiu baniastych namiotów. Członkowie tej ekspedycji, co było dosyć rzadką postawą wśród klientów Gildii, nie traktowali Hume'a jako chłopca na posyłki; wszyscy trzej solidarnie dbali o uzupełnienie zapasów, nie uważali ponadto, że prace pomocnicze w obozowisku wiązałyby się z ujmą na honorze. Człowiek Wassę poszedł w tym czasie nad rzekę i po jakimś czasie wrócił z kilkunastoma srebrnymi pletwaczami, oczyszczonymi i nabitymi na trzcinę, gotowymi do upieczenia nad kuchenką. Ognisko noca nie było potrzebne, lecz stanowiło niezbędny, romantyczny element myśliwskiej wyprawy. Klienci Gildii potrafili docenić takie szczegóły. Hume pochylał się do przodu, podsycając płomieniami, a Starns przysunął bliżej kilka kłód wyłowionych z rzeki.

-Powiedziałeś, lowco, że na myśliwskich światach nie występują inteligentne rasy. Skąd

jednak można być tego pewnym, nie przebadawszy uprzednio dokładnie całej planety?

Mówił obojętnym tonem, ale cel tych pytań był oczywisty.

-Dzięki pomocy weryfikatora. - Hume przysiadł na skrzyżowanych nogach, kładąc dłoń na kolanie. - Piećdziesiąt lat temu musielibyśmy prowadzić tu długie obserwacje, chcąc się upewnić, że ten świat jest nie zamieszkały. Teraz instalujemy weryfikatory w odpowiednich punktach kontrolnych. Inteligencja oznacza jakąś działalność umysłową i daje się ją zarejestrować za pomocą weryfikatora.

-Zdumiewające! - Starns wyciągnął swe pulchne dłonie w stronę ogniska, pradawnym gestem człowieka, którego płonące drewno przyciąga nie tylko swym ciepłem, lecz również obietnicą ochrony przed mocami ciemności. - Nieważne, ilu ich jest albo jak rozproszeni są tacy myślicy tubylcy, bo wszyscy bez wyjątku zostają zarejestrowani?

Hume wzruszył ramionami.

-Może jeden lub dwóch - uśmiechnął się szeroko - przedostaloby się przez takie sito. Dotąd jednak nie odkryliśmy planety, na której inteligentne życie byłoby tak nieliczne.

Stojący blisko ogniska Yactisi bawił się, podrzucając pusty kubek.

-Zgadza się, że jest to istotnie interesujące. - Był szczupłym mężczyzną, o rzadkich, jasnych włosach i ciemnej cerze, co było prawdopodobnie efektem przemieszania kilku ludzkich ras. Oczy miał lekko wpadnięte, więc trudno było w tym świetle odczytać ich wyraz. Hume zdążył już stwierdzić, że jest bystrym obserwatorem, obdarzonym nieprzeciętną inteligencją, co w rezultacie mogło się okazać pomocne lub wręcz przeciwnie - groźne. - Nie zdarzały się żadne błędy?

-Nic o tym nie wiem - odparł Hume.

Całe jego życie zależało od maszyn, nadzorowanych naturalnie przez kompetentnych ludzi, wyszkolonych w ich odpowiednim wykorzystywaniu. Znal proces działania weryfikatora, widział, jak pracuje. W Kwaterze Gildii nie było żadnych zapisów o jego ewentualnej nieskuteczności; pragnął wierzyć, że jest niezawodny.

-A jakaś rasa mieszkająca w morzu. Czy można być pewnym, że maszyna wykryje jej obecność? - dociekał dalej Starns.

Hume rozesmiał się.

-Na Jumali nic takiego nie mogło się rozwinąć, możesz być tego pewien. Morza tutaj są małe i płytkie. Taka rasa, nie wykryta przez weryfikator, musiałaby żyć na dużych głębokościach i nigdy nie wychodzić na ląd. Zatem nie musimy obawiać się niespodzianek. Gildia nie ryzykuje.

-O czym zreszta zawsze zapewnia - dodał Yactisi. - Robi się późno. Życze przyjemnych snów.

Wstał, by pójść do swojego namiotu.

-Rzeczywiście! - Starsz zamrugł i podniósł się niezdarne. - Tak więc jutro polujemy nad rzeką?

-Na kosa wodnego - potwierdził Hume.

Uznał, że z całej trójki Chambriss jest najbardziej niecierpliwy. Powinien jak najszybciej upolować swoje trofeum. Były pilot domyślał się, że ten klient nie pomoże im w poszukiwaniach, jeżeli jego oczekiwania nie zostaną wcześniej zaspokojone.

Rovald, człowiek Wassi, stał milcząc przy ognisku, dopóki wszyscy trzej klienci nie rozeszli się do namiotów.

-Jutro rzeka? - spytał.

-Tak. Nie możemy ich ponaglać.

-Zgoda. - W obecności klientów Rovald był znacznie bardziej wymowny. - Tylko nie opóźniaj sprawy. Przypominam, że gdzieś tutaj błąka się nasz chłopiec. Jeszcze coś go pozre, zanim te łamagi go znajdą.

-Przecież wiedzieliśmy, że narazimy się na takie ryzyko. Nie można wzbudzać podejrzeń. Ani Yactisi, ani Starsz nie są głupcami. Chambriss chce tylko dostać swego kota, ale może zrobić się niegrzeczny, jeśli ktoś będzie próbował nim manipulować,

-Zbyt długie czekanie może nas narazić na kłopoty. Wassi nie lubi kłopotów.

Hume obrócił się dookoła. Jego rysy, oświetlone światłem ogniska, były ściągnięte, usta ponure.

-Ja też nie, Rovald, ja też nie! - powiedział spokojnie, ale za jego słowami kryła się lodowata obietnica.

Rovald nie dał się nastraszyć. Uśmiechnął się szeroko.

-Stul swoje skrzydła, zdobywco przestworzy. Potrzebujesz Wassi. a ja jestem tutaj, by pilnować jego interesów. Chodzi o dużą stawkę, jakiegokolwiek straty są niedopuszczalne!

-Nie będzie żadnych, przynajmniej nie z mojej winy.

Hume podszedł do filara, na boku którego jarzyła się ciemnoczerwona, ognista linia. Naciśnął guzik kontrolny i linia zapłonęła jaskrawo. W tym momencie namioty i statek

kosmiczny zostały otoczone polem silowym. Taki był rutynowy sposób zabezpieczania obozów safari na obcych światach, troska o bezpieczeństwo była obowiązkiem Hume'a.

Stał dłuższą chwilę, patrząc na daleki las, odgradzony niewidzialną barierą. Noc była ciemna, gwiazdy skryły się za chmurami przygnanymi przez wiatr, co wrożyło, że rankiem spadnie deszcz. Nie była to odpowiednia pora na dodatkowe martwienie się niepewną pogodą.

Gdzieś tam blakal się Brodie. Hume miał nadzieję, że chłopiec dotarł już do "obozu", który tak starannie dla niego zbudowano. Kapsuła ratunkowa i osłonięta kamieniami "pustelnia", pełna spreparowanych śladów kilkuletniego zamieszkiwania, zostały skonstruowane z dbałością o najmniejszy szczegół, choć zapewne oszukanie uczestników safari mogło być dokonane znacznie mniejszym kosztem. Jednakże niebawem, kiedy historia ich znaleziska stanie się głośna, na scenie pojawia się inni ludzie, specjaliści od kosmicznych katastrof. Hume liczył jednak, że przeszkolenie, które odebrał w Gildii, a także talenty renegackich techników Wassera zapewnią im pomyslny przebieg wszelkich możliwych testów.

Co widział Stars? Odbicie słońca w dyszy kapsuły ratunkowej, sterczącej teraz pionowo w górę? Hume wolnym krokiem szedł w kierunku ogniska, kiedy zauważył, że Rovald wchodzi po rampie do statku. Uśmiechnął się. Czy Wass uważa go za głupca, który się nie domysli, że Rovald będzie w kontakcie ze swoim pracodawcą? Człowiek VIP-a zamierzał zdać raport przez jakiś kanał tajnego imperium, że wylądowali i że gra zaraz się zacznie. Hume zastanawiał się niezobowiązująco, jak daleko i przez ile transponderów ta wiadomość będzie wędrować, zanim osiągnie swoje przeznaczenie.

Przeciwnie się i ziewnął; postanowił, że czas już się położyć. Jutro muszą znaleźć kota wodnego dla Chambrissa. Hume zepchnął myśli o Brodie'ciu na dalszy plan, koncentrując się na różnorodnych metodach polowania na dzikie zwierzęta z obcych planet.

Światła w namiotach gasły kolejno. Zamknięci we wnętrzu bariery pola silowego ludzie pogrążyli się we śnie. Przed północą zaczął padać deszcz, spływając po bokach namiotów i moczając popioły ogniska.

Z ciemności wypelzło to, co nie było ani myślą, ani substancją, bowiem było radykalnie obce dla przybyszów z innych światów. Jednakże bariera, zaprojektowana tak, by wykrywała wszelkie biegające, fruujące lub pełzające stworzenia, okazała się lepszym zabezpieczeniem, niżli sadzili jej twórcy. Nie doszło do przerwania obwodu - jedna siła daremnie zmagala się z drugą. Po jakimś czasie sonda wycofała się, nie zauważona. Niemniej jednak owo stworzenie, nie obdarzone inteligencją, przynajmniej w myśl tych kryteriów, którymi ludzie określają inteligencję, było wyposażone w zdolności umożliwiające mu poznanie parametrów sztucznej bariery. Pole silowe zostało zbadane, jego cechy przetrawione. Pierwsze podejście nie powiodło się. Przygotowywano drugie - właściwie już było gotowe, choć upłynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd pierwsi przybysze zbudzili ze snu pradawnego strażnika pilnującego Jumali.

W glebi ciemnych lasow porastajacych gorskie stoki cos sie poruszalo. Rozliczne stworzenia skomlaly przez sen, protestowaly podswiadomie przeciwko rozkazom, ktorych nigdy nie potrafily pojac, a ktore mogly tylko wykonac. Z nadejsciem switu armia ustawi sie w szyku bojowym, przypusci nowy atak - nie tylko na oboz, lecz takze na wszelkie jego zabezpieczenia. I na chlopca, spiacego teraz w plytkiej jamie, utworzonej przez rozwidlone korzenie drzewa, ktore sie zlamalo podczas ladowania kapsuly ratunkowej.

Szczescie znowu usmiechnelo sie do Hume'a: o swicie deszcz przestal padac. Choc niebo bylo zachmurzone, dzien zapowiadal sie pogodny. Spieniony, rwacy nurt rzeki ulatwi Chambrissowi polowanie. Koty wodne lubily wygrzebywac sobie nory w brzegach, wznoszaca sie woda przepedzala je teraz z ich siedlisk. Z pewnoscia zostawia wyrazne slady na piaszczystym podlozu. Wyruszyli cala grupa. Hume prowadzil, Chambriss dreptal zwawo tuz za nim, Rovald zamykal pochod zgodnie z przyjeta technika poruszania sie szlakiem. Chambriss niosl pistolet strzalkowy, Starns mial tylko ochronny gluszak, a na szyi powiesil sobie przestarzaly aparat holograficzny. Choc Hume ostrzegal, ze rwacy po nocnej burzy nurt mogl uniemozliwic polowanie na glebokiej wodzie, Yactisi trzymal pod pacha elektryczny harpun, a jego biodra opinal pas z aparatura wspomagajaca.

Juz w niewielkiej odleglosci od obozowiska znalezli swiezy slad szerokich lap kota wodnego. Zwierze musialo byc gdzies niedaleko. Hume zmierzyl dlonia odleglosci miedzy wglebieniami.

-Duza sztuka! - wykrzyknal Chambriss z zadowoleniem. - Odchodzi od rzeki.

To spostrzezenie lekko zastanowilo Hume'a. Przy wysokiej wodzie rude koty moga opuszczac swoje jamki. ale od rzeki oddalaja sie niechetnie. Przykuczal na pietach i uwaznie zbadal wzrokiem przestrzen dzielaca ich od dalekiego lasu.

Mimo poznej pory roku trawa wciaz rosla, lecz nie byla dostatecznie wysoka, by ukryc zwierze, ktore zostawilo tak wielkie slady. Kot mogl sie zaszyc w pobliskich zaroslach i tam czekac na dogodna chwile do ataku - ale dlaczego? Nie zranili go, nie przestraszyli, nie mial powodu, by zasadzac sie na nich w ukryciu.

Yactisi i stale majstrujacy przy swoim aparacie Starns zostali w tyle. Rovald dogonil ich. Na znak dany przez Hume'a zdjal z ramienia swoj promiennik. Nie nalezalo ufac zwierzeciu, ktore postepowalo wbrew swym normalnym obyczajom.

Hume wyprostowal sie i przeszedl po linii sladow. Byly swieze - nieomal cieple. I wiodly prosta linia do lasu. Kolejne machniecie reki zatrzymalo Chambrissa. Zdyscyplinowany klient, pomimo zapalu, nakazujacego mu stale przec do przodu, usluchal. Hume porzucil slad i zawrocil, by zbadac kepy zarosli. Pusto. A jezeli pojda tropem kota, moga sie natknac na kapsule ratunkowa!

Postanowil zaryzykowac. Kiedy znalezli sie w odleglosci zaledwie kilku jardow od pasa

drzew, gestem dłoni dal Chambrissowi znak, by strzelił w stronę chwiejającego się krzewu.

Okazało się jednak, że bezkształtne, ledwo widoczne stworzenie, prawie nie odróżniające się barwą od reszty roślinności, wcale nie jest kotem wodnym. Usłyszeli cichy, urywany skowyt, a zaraz potem tupot łap.

-Co to było, w imię dziewięciu bogów? - zazał wyjaśnienia Chambriss.

-Nie wiem. - Hume ruszył do przodu i wyszarpnął strzałkę z pnia drzewa. - Tylko już więcej nie strzelaj, chyba że jesteś pewien, iż dobrze wycelowales!

5

Wilgoc po nocnych opadach okryła liście drzew i skapywała wielkimi kroplami na spocone ciało Ryncha. Leżał na szerokiej gałęzi, starając się opanować ciężką zadyszke, której nabawił się podczas biegu. Wciąż słyszał echo okrzyków zaskoczonych ludzi, którzy brnili z wysiłkiem przez las w stronę wbitej pionowo w ziemię kapsuły ratunkowej. Nie potrafił pojąć, co go skłoniło do ucieczki. Byli członkami jego własnej rasy, mogli go zabrać z tego samotnego świata. Ale tamten wysoki mężczyzna - ten, który prowadził grupę w stronę polany, na której wylądowała kapsuła...

Rynch zadrzał i wbił paznokcie w kore. Widok tego człowieka spowodował konflikt pomiędzy otaczającą go rzeczywistością a dreczącymi wizjami. Paniczna ucieczka była jedyną rzeczą, jaka przyszła mu do głowy. To był mężczyzna ze snu - mężczyzna z kubkiem!

Kiedy serce przestało już bić jak oszalone, zaczął myśleć bardziej logicznie. Po pierwsze, nie udało mu się znaleźć nory zuchwacza. Potem te ślady na zboczu, z którego spadł, i kapsuła na polanie, dokładnie zgodna z obrazem, jaki podsuwały mu wspomnienia. Niedaleko statku odkrył jednak coś jeszcze - obozowisko z szalaszem, skonstruowanym z lupków i pnaczy, zawierające rzeczy, które mógł zgromadzić tylko rozbitek.

Rynch wiedział, że ten człowiek go znajdzie, ale zmęczenie nie pozwalało mu dalej uciekać.

Nie, rozwiązanie całej zagadki wiąże się z tym człowiekiem. Jeżeli wróci na polanę, to zaryzykuje, że go schwytają - ale przecież musi uzyskać wyjaśnienie. Rynch rozejrzył się z uwagą po swym obecnym otoczeniu. W głębokim błocie pod drzewami zostaną ślady. Może istnieje jakiś inny sposób poruszania się? Obejrzał konary sąsiedniego drzewa.

Napowietrzna wedrowka szła mu niezbyt sprawnie, stale się pocila, zamierzając w bezruchu, gdy przeplaszal zamieszkujące korony drzew stworki. Idący za nim ludzie podeszli już niezwykle blisko do miejsca, w którym znajdowała się kapsuła.

Nagle zobaczył w gorze ponad sobą zarys jakiegoś ogromnego cielska; strach

spowodował, że przywarł kurczowo do pnia drzewa. Mimo że stwor był zwinięty w klebek. Rynch czuł, iż jest nieomal tak samo duży jak on. A widok groźnych pazurów ostrzegł, że to przeciwnik, którego nie należy lekceważyć. Ponieważ wyraźnie nie miał zamiaru go atakować, do Ryncha powoli dotarło, że zwierze znajduje się w takiej sytuacji jak on. Szuka kryjówki.

Nie odrywając wzroku od bezkształtnej cielska, młody mężczyzna zaczął się wycofywać, czujny na każde drgnienie. Ponieważ nic się nie stało, szybko zeszliźnął się w dół. Stał pod drzewem, bacznie nasłuchując dźwięków dobiegających z góry. Był już bardzo blisko obozu rozbitka.

W pobliżu szalasu czaiło się drugie zwierze, takie samo jak to pierwsze, ukryte na drzewie! Różniło się tylko tym, że jego sierść nie miała barwy liści. Stało na czterech łapach, uginając przednie w stawach kolanowych, a cała sylwetka przypominała człowieka - z tą różnicą, że ciało człowieka nie jest porośnięte gęstym futrem. Jego głowa, wciągnięta między ramiona, jakby osadzona na zbyt krótkiej szyi, miała kształt gruszki, wydłużonym końcem skierowanej w tył, z organami wzroku i węchu wcisniętymi w zaokrągloną część twarzy, tuż nad linią szerokich ust przecinających tępy pysk. W ciemnych szczelinach oczu nie było widać źrenic, tęczówek i rogówek. Nos stanowiła idealnie zaokrąglona rurka, stercząca na długość ciała. Obce i przerażające, a zarazem groteskowe stworzenie nie wykonało żadnego wrogiego ruchu. A ponieważ nie odwróciło głowy, nie mógł być pewien, czy w ogóle go widzi. Wiedziało jednak, że on tu jest, był o tym przeswiadczone. I czekało... na co? Powoli mijaly długie sekundy. Rynch zaczynał już wierzyć, że stwor nie czeka na niego. Podniesiony na duchu, wspiał się po pnaczu na najbliższe drzewo.

Kilka minut później odkrył, że bestii jest znacznie więcej, niż tylko dwie, zaczajone przy obozowisku, i że szereg wartowników rozciąga się aż do polany, na której spoczywała kapsuła. Wycofał się w głąb lasu, mając zamiar znaleźć określoną drogę prowadzącą na otwarty teren. Bardzo teraz pragnął przyłączyć się do przedstawicieli swojej rasy, choćby to nawet byli jego potencjalni wrogowie.

Mijał czas, a bestie otaczały obozowisko coraz ściślej kregiem. Zapadał już wieczór, gdy dotarł do oddalonego o kilka mil miejsca nad rzeką. Odkąd wyszedł na otwartą przestrzeń, nie napotkał żadnego z tych koszmarnych obserwatorów. Miał nadzieję, że nie będą mieli ochoty wyjść poza osłone drzew.

Nad rzeką położył się płasko na ziemi i wczuł się na szczycie zbocza. Tam, ukryty bezpiecznie za gęstym krzakiem, zaczął obserwować rozciągający się przed nim teren. Zobaczył duży statek kosmiczny, a nie opodal rampe ładowniczą i grupę baniastych namiotów. Na samym środku płonęło ognisko, wokół którego krecili się ludzie.

Teraz, kiedy zostawił za sobą las i obserwatorów, i był tak blisko celu, z niewiadomego powodu nie miał ochoty na żadne działanie. Nie chciał wychodzić ze swej kryjówki. Coś odpychało go od tych ludzi.

Mezczyzna, ktorego szukal, stal przy ogniu i zakladal wlasnie na siebie rodzaj uprzezy podtrzymujacej niewielka skrzynke. Potem zawiesil jeszcze na ramieniu pistolet strzalkowy. Sadzac po ozywionych gestach, pozostali spierali sie z nim o cos, ale on tylko potrzasnal glowa i ruszyl przed siebie, szybko stajac sie cieniem, skradajacym sie wsrod innych cieni. Jeden z jego towarzyszy poszedl w slad za nim, ale kiedy dotarli do filaru, wbitego w ziemie w niewielkiej odleglosci od namiotow, zatrzymal sie, pozwalajac temu pierwszemu odejsc samotnie w ciemnosc,

Rynch ukryl sie za krzakiem. Mezczyzna najwyrazniej szedl w strone rzeki. Czy to mozliwe, ze dowiedzieli sie o jego obecności i teraz go szukaja? Sadzac po przygotowaniach, ktore poczynil wysoki mezczyzna, najpewniej po prostu wyszedl na patrol. Obserwatorzy! Czy ten czlowiek mial zamiar ich sledzic? Pomysl wydawal sie sensowny. Tymczasem pozwoli temu drugiemu isc za soba tak dlugo, az odejda wystarczajaco daleko od obozu i pozostalych. Wtedy sie gdzieś potajemnie spotkaja!

Rynch zacisnal piesci. Musi sprawdzic, co jest prawda, a co snem w jego oszalalym, pomieszany umysle! Ten czlowiek to wie i moze powiedziec mu prawde!

Mimo ze Rynch bardzo sie staral, obcy wkrótce roztopil sie w mglistej plataninie cieni. Potem jednak uslyszal cichy plusk wody. Mezczyzna z obozowiska szedl srodkiem strumienia. Choc staral sie podazac za nim bardzo ostrożnie, omal nie zdradzil swej obecności, kiedy obchodzil kepe krzakow wrastajacych czesciowo do strumienia. Z cichego szmeru wywnioskowal, ze mezczyzna usiadl na zanurzonym w wodzie pniu drzewa.

Czyzby czekal na niego? Rynch zamarl w pol kroku, tak zaskoczony, ze przez sekunde nie potrafil myslec jasno. Potem dostrzegl sylwetke obcego, otoczona jaskrawa poswiata. Wokol mezczyzny gromadzily sie gesto mikroskopijne czasteczki swiatla, promieniujac zielono-niebieska barwa. Siedzacy machnal ramieniem, luna zawirowala i rozdzielila sie na pojedyncze iskierki wielkosci lebkow od szpilki.

Rynch spojrzal na wlasne cialo - te same iskierki unosily sie takze wokol niego, otaczajac jego rece, uda, piers. Wszedl glebiej w zarosla, ale iskierki wciaz fruwal, choc juz nie w takiej ilosci, by zdradzic jego obecność. Patrzyl, jak unosza sie nad zaroslami, przy klodzie, na ktorej siedzial mezczyzna, wokol kamieni i sitowia. Przy obcym zgromadzilo sie ich najwiecej, jakby jego cialo bylo namagnesowane. Mezczyzna nadal probowal sie od nich opedzic; w ich swietle Rynch zauwazyl, jak palcami dloni manipuluje na panelu zawieszonej na szyi skrzynki.

Na moment palce znieruchomialy. Rynch uniosl glowe, uslyszawszy jakis daleki dzwiek. Krzyk ktorejs z bestii?

Palce ponownie zawirowaly na tablicy. Czyzby nadawal wiadomosc? Rynch obserwowal, jak sprawdza uprzaz i sprzet zawieszony u pasa, chowa pistolet strzalkowy pod pacha. Po chwili odszedl od strumienia, kierujac sie w strone lasu.

Rynch zerwał się na nogi, w ostatniej chwili tłumiac ostrzegawczy okrzyk. Starając się iść jak najciszej, ruszył śladem obcego. Ma mnóstwo czasu, zanim mężczyzna dotrze do miejsca, w którym trzeba go będzie ostrzec przed ewentualnym niebezpieczeństwem, czającym się za drzewami.

Tamten jednakże zachował czujność, jakby się spodziewał tego, co może na niego czyhać w tych ciemnościach. Skreślił na północ i unikając kęp potarganych krzaków trzymał się otwartej przestrzeni. Rynch nie mógł iść tuż za nim.

Ich trasa, biegnąca równoległe do lasu, wiodła do drugiej rzeki, do której wpadała ta pierwsza. Tutaj mężczyzna przysiadł na chwilę między dwoma kamieniami. Zupełnie nie dbał o ukrycie swej obecności.

Rynch szczęśliwie znalazł dogodne miejsce, z którego mógł go obserwować nie zauważony. Światne punkciki skupiły się w jednym miejscu i wisiały teraz w postaci jasnego obłoku nad skalami. Rynch wycofał się pod osłonę krzaka, którego aromatyczne liście musiały wydzielać jakąś odstrasżającą aurę, ponieważ iskierek nie zbierały się w tym miejscu.

Otepiał z zmęczenia, chłopiec zasnął, a kiedy się obudził, oszolomiony i dezorientowany, był już dzień. Coś było nie tak. Zamiast czterech brudnych ścian widział wokół siebie niebiesko-zieloną kopułę.

Szybko jednak przypomniał sobie wszystko. Wstał więc i zszedł ze zbocza, zły, że pozwolili sobie na głupią słabość. Znalazł ślady mężczyzny. Nie zawracały, czego się początkowo obawiał. Wyraźnie odcisnięte w wilgotnej ziemi, wiodły teraz na wschód. Co było celem jego wyprawy? Czy może te ślady zostawił po to, by służyły za wskazówki pozostałym ludziom z obozu?

Nie mógł iść otwarcie brzegiem rzeki, byłoby to prowokowanie losu. Przyjrzał się uważnie drugiemu brzegowi. Porastały go kępy niskich drzew i wysokich krzaków, stanowiących idealną osłonę.

Skrył się prawie cały w zaroślach, gdy nagle usłyszał chrapliwy warkot samicy kota wodnego. Atakowała jakiegoś wroga, przenikliwie miauczac z wściekłości. Rynch zaczął biec zygzakami, od jednej kępy krzaków do drugiej. Gdy dotarł do brzegu rzeki, nienawistne warczenie nagle zamarło.

Celem ataku kocicy i jej młodych był mężczyzna z obozu. Na zwirze leżały trzy zakrwawione ciała, płaskie i nieruchome. Człowiek stał oparty o skałę i ciężko dyszał. Po chwili pochylił się, by podnieść upuszczony pistolet, odbiegł od skały w stronę rzeki i wpadł w kolejną pułapkę, która zgotowała mu Jumalę.

Zanim zdecydował, gdzie ma postawić stopę, zsunął się ze śliskiej powierzchni i upadł, prosto w potrzaski nory zuchwacza. Z okrzykiem zdziwienia mężczyzna wypuścił pistolet z

rak i rozpaczliwie wpil palce w ziemie. Pograzal sie jednak stale; najpierw zapadl sie po kolana, potem do polowy uda. Wsyal go ruchomy piasek pulapki. Nie stracil jednak glowy i szarpal sie zdecydowanie, usilujac wyswobodzic.

Rynch wstal i wolnym krokiem ruszyl w strone brzegu rzeki. Wiezien obrocil sie, szukajac jakiegos wiekszego i ciezszy kamienia, ktorego moglby sie uchwycic. Na widok Ryncha nawet nie krzyknal, tylko wytrzeszczyl oczy i otworzyl usta w niemym zdziwieniu.

Skrzynka wiszaca na jego piersi zaczepila o kamien, ktorego rozpaczliwie uchwycil sie. Gdy nastapila eksplozja iskier, obcy zaczal gwaltownie manipulowac przy sprzaczce oplatajacej go uprzezy. Skrzynka upadla na cialo jednego z kotow i eksplodowala raz jeszcze, osmalajac jego siersc.

Rynch przypatrywyl sie temu z obojetnoscia, a po chwili zastanowienia wyrwal pistolet z rak uwiezionego. Mezczyzna patrzyl na niego z kamienna twarza, nawet wtedy, gdy Rynch wycelowal bron.

-Zdaje sie - uslyszal zgrzyt wlasnego glosu Rynch - ze wreszcie mozemy pogadac.

Mezczyzna skinal glowa.

-Jak sobie zyczysz, Brodie.

6

-Brodie? - Rynch przykucnal na pietach. Szare oczy, niezwykle jasne na tle ogorzalej twarzy, zwezily sie odrobine, co Rynch odnotowal z poczuciem wewnetrznego triumfu.

-Szukales mnie? - spytal.

-Tak.

-Dlaczego?

-Znalezlismy kapsule, wiec zaczelismy szukac ewentualnych rozbitkow.

Rynch powoli pokrecil glowa.

-Przeciez wiedzieliscie, ze tu jestem. To wy mnie tu sprowadziliscie! - wyjawil swe podejrzenia jednym prostym stwierdzeniem.

Tym razem mezczyzna nie dal po sobie nic poznac.

-Widzisz! - Rynch pochylil sie do przodu, nadal jednak pozostajac poza zasiegiem uwiezionego. - Pamietam!

W oczach mężczyzny coś zamigotało, ale nadal rozmawiał spokojnym tonem.

-Co pamiętasz, Brodie?

-Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie nazywam się Brodie, że nie leciałem w tej kapsule, że nie zbudowałem tego obozowiska.

Pogładził dłoń trzon pistoletu. Nie miał już żadnych wątpliwości, że gra, do której go wciągnięto, jest niebezpieczna, mimo że jeszcze nie poznał jej reguł i celu.

-Tym razem nie masz żadnego kubka.

-Rzeczywiście pamiętasz. - Mężczyzna nadal przyjmował wszystko spokojnie. - W porządku. Nie musisz od razu psuć nam planów. Nie masz do czego wracać na Nahuatl, chyba że podobało ci się w "Roju". - W jego głosie lodowato pobrzmiwała pogarda. - Odegranie naszych ról przyniesie korzyść również tobie.

Urwał i wbił w niego zimne spojrzenie.

Nahuatl. Rynch uczepił się tego słowa. Był w Nahuatl... a może na Nahuatl? Co to jest? Planeta? Miasto? Gdyby zdołał wmówić temu człowiekowi, że pamięta wszystko wyraźnie, a nie tylko kilka urywanych wspomnień...

-Najpierw mnie tu zostawiłeś, a teraz wracasz, żeby na mnie polować. Dlaczego? Dlaczego Rynch Brodie jest taki ważny?

-Bo jest wart miliard kredytów! - Mężczyzna ze statku wychylił się z jamy, rozkładając szeroko ręce, by nie dać się wessać jeszcze głębiej. - Miliard kredytów - powtórzył spokojnie. Rynch rozesmiał się.

-Wymyśl coś lepszego, zdobywco przestworzy.

-Stawka musi być chyba dla nas wysoka, skoro postaraliśmy się o taką scenografię. Zostałeś uwarunkowany, Brodie, nielegalnie skanalizowano ci mózg!

Rynchowi te słowa nic nie mówiły. Jeśli kiedykolwiek było inaczej, to już o tym zapomniał, zagubiony w labiryncie wspomnień należących do przeszłości Brodiego. Wiedział jednak, że da swemu przeciwnikowi przewagę, jeśli zdradzi się ze swą niepewnością.

-Szukacie Brodiego, bo chcecie zdobyć miliard kredytów. Ale jeszcze go nie znaleźliście!

Ku jego zdziwieniu mężczyzna rozesmiał się.

-Brodie się znajdzie, kiedy będzie potrzebny. Pomyśl o swoim udziale w miliardzie kredytów, chłopcze; dobrze się nad tym zastanów.

-Pomyśle.

-Wiesz, że samo myślenie nie wystarczy.

W głosie mężczyzny po raz pierwszy zabrzmiał ślad jakichś emocji.

-Twoim zdaniem ja was potrzebuję? Nie sadzę. Nie Jestem już pionkiem, którego ktoś przestawia na planszy.

To stwierdzenie znowu przywołało krótkotrwały błysk zamazanego wspomnienia - zadymione pomieszczenie, w którym przy stolach tłoczyli się ludzie i przesuwali jakieś figurki na planszach. Było to jedno z jego własnych wspomnień, a nie spreparowana pamięć Brodiego.

Rynch wstał, ruszył w górę zbocza, lecz zanim dotarł na szczyt, obejrzał się. Rozbita skrzynka wciąż dymiała. Mężczyzna starał się wychylić jak najdalej, usiłując schwycić kamień, jego palcom brakowało zaledwie kilku cali. Miał szczęście, że nora była pusta. Po jakimś czasie uda mu się z niej wydostać. Rynch zaś wiedział, jak znaleźć sobie kryjówkę - nikt go nie znajdzie wbrew jego woli.

Maszerował przed siebie, usiłując złożyć w jedną całość swoje wspomnienia i skąpe informacje uzyskane od człowieka z Nahuatl. A więc "skanalizowano mu mózg", wyposażono w zbiór fałszywych wspomnień, by zrobić z niego Ryncha Brodie, którego obecność na tym świecie warta była dla kogoś miliard kredytów. Nie sądził, by człowiek ze statku prowadził tę grę w pojedynkę, bo czy wszak nie użył słowa "my"?

Miliard kredytów! Ogromna kwota, niewiarygodnie ogromna, jak cała reszta tej historii.

W podbiciu stopy poczuł ukłucie palącego bólu. Krzyknął głośno i tupnął z całej siły nogą, miażdżąc kasającego go insekta. W porę uskoczył w bok, unikając wejścia w kłab robactwa, uwijającego się pracowicie przy jakiejś nierozpoznawalnej padlinie. Krzyknął z obrzydzenia, przypatrując się bezładowi luskowatych, segmentowatych ciał i ruchliwych odnóży

W pobliżu mężczyzny złapanego w pułapkę leżały ciała trzech kotów wodnych. Przynęta, która może naprowadzić żarłoczne insekty na trop więźnia. Rynch poczuł, jak klebi mu się w wyglodniałym żołądku. Obrócił się i pobiegł trawiastym brzegiem rzeki, mając nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Omali nie upadł i nie zeszliżnął się do wody, ale z ulgą zauważył, że mężczyzna zdołał przyciągnąć do siebie uprzęź z dymiącą skrzynką. Cierpliwie rzucił ją teraz przed siebie, bezowocnie starając się zaczepić paski na najbliższym kamieniu.

Rynch dobiegł, złapał koniec uprzęży i wbił pięty w luźny żwir, ciągnąc z całej siły. Dzięki jego pomocy mężczyzna wypełził w końcu z nory. Położył się, ciężko dysząc, lecz Rynch

schwycił go za ramię i błyskawicznie odciągnął od ciała martwej kocicy. Był pewien, że zauważył już ruch przy zwłokach jej dziecka.

Mezczyzna wyprostował się i spojrzał na Ryncha, który cofnął się i wymierzył do niego z pistoletu.

-Teraz kolej na moje pytania.

Jego spojrzenie powędrowało za linią wzroku Ryncha. Zwłoki najmniejszego kociaka skrecały się z boku na bok. Nie oznaczało to jednak, że jakimś cudem kot ożył: atakowały go padlinożerne insekty. W stronę drugiego kociaka już szarżowały następne kolumny.

-Dziękuję! - Obcy wstał na nogi. - Nazywam się Ras Hume. Zdaje się, że nie przedstawiłem się podczas naszego ostatniego spotkania.

-To niczego nie zmienia. Nie jestem waszym człowiekiem, nie nazywam się Brodie! Hume wzruszył ramionami.

-Przemysł to wszystko, Brodie, przemysł to starannie.

Chodź ze mną do obozu, to...

-Nie! - przerwał mu Rynch. - Ty pojedziesz swoją drogą, a ja swoją.

Mezczyzna znowu się zaśmiał.

-To nie jest takie proste, chłopcze. Zaczeliśmy coś, czego nie da się zatrzymać tak łatwo, jak jakas maszyna.

Zrobił krok w stronę Ryncha.

Młodszy mężczyzna podniósł pistolet strzałkowy.

-Stój tam, gdzie stoisz! Twoja gra, Hume? W porządku, rozgrywaj ją sobie, ale bez mojego udziału.

-A co masz zamiar robić, schować się w lesie?

-Co ja robię, to moja sprawa, Hume.

-Bynajmniej. Ostrzegam cię, chłopcze, z wdzięczności za twoją pomoc. - Skłaniał głowę w stronę jamy. - W tych lasach coś jest, coś, czego Gildia nie wykryła podczas swoich wcześniejszych badań.

-Obserwatorzy. - Rynch cofnął się krok po kroku, cały czas trzymając pistolet gotów do strzału. - Widziałem ich.

-Widziałes ich! - Hume ożywił się. - Jak oni wyglądają?

Pomimo pragnienia pozbycia się Hume'a, Rynch mimo woli opowiedział wszystko, bez trudu przypominając sobie dokładne szczegóły wyglądu zwierzęcia ukrytego na drzewie oraz tego, które czekało przy szalasi, a także tych, które otoczyły polane.

-Nie są inteligentne. - Hume odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę odległego lasu. - Weryfikator nie odnotował żadnych inteligentnych stworzeń.

-A więc przegapiliście obserwatorów?

-Nie. Nie podoba mi się też, co ty zobaczyłeś, Brodie. Dlatego proponuję rozejm. Gildia uznała Jumale za nie zamieszkaną planetę, nasze sprawozdania to potwierdziły. Jeżeli okaże się, że jest inaczej, możemy znaleźć się w niezłych tarapatkach. Jako Poszukiwacz Ścieżek jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników safari.

Słowa Hume'a brzmiały sensownie, choć Rynch nie chciał tego przyznać. Łowca musiał jednak dostrzec przyzwolenie w wyrazie jego twarzy, bo skinął głową i dodał pośpiesznie:

-Najbezpieczniejszym miejscem jest w tej chwili oboz safari. Najlepiej chodźmy tam od razu.

Nie wiedział jednak, że ich czas się skończył. Usłyszeli donosny, jakby metaliczny dźwięk. Rynch obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi, jednocześnie odbezpieczając pistolet. Od jednego z glazów oderwała się błyszcząca kula wielkości piasku i wylądowała w zagłębieniu w ziemi, które zostawił but Hume'a. W powietrzu eksplodował kolejny błysk i druga kula przeturlała się ze szczękiem po zwirowie.

Wydawały się pojawiać znikąd. Rozsyłały tęczowe błyski, toczyły się polkolem wokół dwóch mężczyzn. Rynch pochylił się, lecz Hume złapał go palcami za nadgarstek i odciągnął od kuli.

-Nie dotykaj! - warknął Hume. - I nie przyglądaj się jej z bliska! Chodź tutaj!

Popchnął Ryncha przez wyrwę w nie zamkniętym jeszcze kregu kul.

Hume wyminał ostrożnie uczujące insekty i złapawszy Ryncha za rękę, poderwał go do biegu. Słyszeli za sobą trzaskanie i brzek kolejnych kul. Rynch obejrzał się i dostrzegł, jak jedna z nich upadła w pobliżu ciała kota wodnego.

-Poczekaj chwilę!

Wyrwał się z uścisku Hume'a. Miał szansę zobaczyć, jaki wpływ będzie miała ta kryształowa kula na żywe organizmy.

Kryształ uległ zmianie: z żółtego stał się czerwony, jak te resztki futra, które jeszcze pozostały na błyskawicznie pozeranym ciele.

-Patrz!

Rozedrgany dywan, pokrywający martwego kota, przestał się ruszać, a w jego stronę toczyły się już następne dwie kule. Szponiaste stwory zawirowały gwałtownie, porzucając padline. Wylaly się na ścieżkę i jęły gwałtownie pelznac przed siebie. Za nimi, niczym pasterze zaganiający stado, sunęły trzy kule polyskujące na czerwono, a za nimi podążały następne.

Hume podniósł rękę. Stozkowaty czubek promiennika splunął lanca ognia, która trafiła w środkowy kryształ. Odbity od niego promień uderzył w insekty zbite w gęstą masę. Luskowate ciała zaczęły się natychmiast skreczać, kurczyć i wreszcie spopielać, natomiast zupełnie niewzruszony kryształ toczył się dalej.

-Biegnij!

Hume popchnął Ryncha do przodu silnym ciosem, omal nie zwałając go z nog. Obydwaj ponownie poderwali się do biegu.

-Czym... czym są te stworzenia? - spytał Rynch, gwałtownie dysząc.

-Nie wiem i nie podoba mi się ich wygląd. Jeżeli będziemy trzymać się rzeki, to nie dadzą nam dojść do obozu...

-Już nam zagroziły drogi.

Rynch dostrzegł w powietrzu błyszcząca smugę, wyznaczającą trajektorie lotu kuli, która upadła na skraju wody.

-Może starają się nas osaczyć, a to im się nie uda. Widzisz te kłode, która utknęła między dwoma kamieniami? Wbiegnij na nią, a potem skacz do wody, one chyba nie potrafią pływać.

Rynch biegł dalej, nie wypuszczając z ręki pistoletu. Złapał równowagę na dryfującej kłodzie i zeskoczywszy z niej, zanurzając się po pas w brązowej wodzie. Hume dołączył do niego z ponurą twarzą.

-Spojrz tam...

Rynch spojrział we wskazanym kierunku. Jeden kształt... dwa... trzy... Obserwatorzy wyszli z lasu, odznaczając się wyraźnie tam, gdzie nie maskowały ich zarośla. Kroczyli równym szeregiem, prosto w stronę ludzi, okryci niebiesko-zielonymi futrami niczym mgła chroniąca przed palącym słońcem. I choć ich sylwetki tchnęły jakby wewnętrznym

spokojem, w marszu owi monstrualni mieszkańcy jumalanskiego lasu wyglądali jak żywe ucielesnienie brutalnej siły.

-Wynosmy się stąd! Szybko!

Nie przestawali biec. Lecz przez cały czas kroczyła za nimi spokojna linia zielonego blekitu, odciągając ich od obozu safari, w stronę coraz to wyższych zboczy gór. Tak samo jak kule nie pozwoliły insektom dokończyć posiłku i kazały im uciekać, podobnie ludzie byli teraz gnani w niewiadomym kierunku.

Od pewnego momentu przestali widzieć i słyszeć kule. Kiedy dotarli do zakretu rzeki, Hume zatrzymał się, obrócił i przypatrzył równemu szeregowi kroczących stworów.

-Możemy ich zlikwidować za pomocą strzałek albo promiennika. Łowca pokreślił głową.

-Nie zabijaj - wyrecytował credo Gildii - dopóki nie jesteś pewien. Oni postępują według jakiejś metody, a metoda oznacza inteligencję.

Gildia szkoliła, jak traktować zwierzęta i rozumne istoty z obcych planet. Hume przeszedł takie szkolenie i mimo że tu, na Jumali, prowadził podstępna grę, Rynch uznał, że lepiej takie decyzje pozostawiać jemu.

Hume podał mu pistolet strzałkowy.

-Oszczędzaj mnie, ale nie strzelaj, dopóki ci nie powiem. Zrozumiałeś?

Poczekaj, aż Rynch skinie głową i zaraz ruszył zdecydowanym krokiem, tym samym tempem, z jakim szły bestie, przez mielizny w rzece, wprost na spotkanie z nimi. Zbliżający się szereg zatrzymał się jednak i stał w milczeniu. Hume podniósł rękę, pokazując wnętrza dłoni i przemówił powoli klekotliwym językiem, służącym do kontaktów z obcymi.

-Przyjaciel. - Tylko tyle Rynch potrafił wyroznić z tego jednostajnego ciągu sylab. Rozumiał jednak, że Hume próbował nawiązać kontakt z niebieskimi bestiami. Szczeliny ciemnych oczu nie przestawały wpatrywać się tępo w przestrzeń, lekki wiatr mierzwił kosmyki futer porastających szerokie barki i długie muskularne odnoża. Nie poruszyła się ani jedna głowa, ani jedna z ciężkich, zaokrąglonych szczęk nie otworzyła się, by wygłosić cokolwiek w odpowiedzi. Hume przestał mówić. Zapadła groźna cisza, od niebieskich stworzeń promieniowała złowroga aura, pulsując niczym wzburzony ocean.

Hume stał jeszcze krótką chwilę naprzeciwko obcych. Potem wrócił do Ryncha z twarzą ściągniętą niepokojem. Rynch podał mu pistolet.

-Czy będziemy walczyć?

-Za późno. Patrz!

W stronę rzeki nadciągały kolejne niebiesko-zielone oddziały, liczące tym razem nie pięciu czy sześciu napastników, lecz po kilkunastu, może nawet przeszło dwudziestu. Z opalonej twarzy łowcy sciekła cieniutka struzka wilgoci.

-Otoczyli nas, teraz możemy iść tylko prosto przed siebie.

-Powinnismy walczyć! - zaprotestował Rynch.

-Nie. Idź dalej.

7

Po pewnym czasie Hume znalazł wreszcie dogodne miejsce do obrony - wysepke na środku strumienia, pozbawiona roślinności i zwieńczona ostrym wierzchołkiem. Jej wysokie brzegi były pełne szczelin i zapadlin, co pozwalało mieć nadzieję, że w razie zacieklej walki nie zostaną zaatakowani od tyłu. Odkryli ją w ostatniej chwili, wśród wydłużających się już cieni późnego popołudnia. Atak nie nastąpił, a bestie wciąż kontynuowały swój powolny marsz, najwyraźniej zamierzając zagnać obydwu mężczyzn w stronę położonych na północnym wschodzie gór. Trwało to tak długo i było tak beznamietne, że Rynch wyzbył się dokuczliwego uczucia paniki, choć wciąż pamiętał, że głupota jest lekceważenie nieznanego.

Niczego nie uzgadniając, wspieli się na sam szczyt wysepki, a tam, poływiwszy ze zmeczenia, padli na skrawek płaskiej skały o powierzchni może czterech stop. Hume odpiął lornetkę od pasa, ale nie obserwował szlaku, który zostawili za sobą, tylko ciągnący się przed nimi łańcuch górski.

Rynch krecił się niespokojnie, przypatrywał rzece i jej brzegom. Stojące na brzegu lub przyczajone w trawie bestie wyglądały jak skamieniałe, niebiesko-zielone bryły.

-Nic nie widac.

Hume odjął lornetkę od oczu, ale nie przestał obserwować gór.

-A co chciales zobaczyć? - burknął Rynch. Był głodny, ale nie na tyle, by odważyć się na opuszczenie wysepki.

Hume zaśmiał się.

-Nie wiem, a jestem pewien, że one chcą nas właśnie tam zapedzić.

-Wymyśl coś wreszcie - zaatakował go Rynch. - Znasz te planety, byles już tutaj.

-Należałem do jednej z grup zwiadowczych, która uznała, że Gildia może przejąć Jumale.

-A więc musieliście dokładnie przeczesać te tereny. Jak to się stało, że się o nich nie dowiedziałeś?

Wskazał reka ich przesładowców.

-O to właśnie chętnie bym w tej chwili spytał paru ekspertów - odparł Hume. - Weryfikatory nie zarejestrowały tu żadnej rasy inteligentnych tubylców.

-Żadnej inteligentnej rasy. - Rynch zamyslił się nad tym i znalazł oczywiste wyjaśnienie. - W porządku, w takim więc razie ktoś z zewnątrz musiał tu podrzucić naszych niebieskich przyjaciół. Przypuszcmy, że prowadzi tu własne interesy i chce się pozbyć nieproszonych gości?

Hume zamyslił się.

-Nie.

Nie wyjaśnił jednak, dlaczego zaprzecza. Usiadł, wyciągnął cylindryczny pojemnik z petli przy pasie i wytrzasnął z niego cztery tabletki. Dwie wręczył Rynchowi, a pozostałe sam połknął.

-Vita-bloki, podtrzymują siły przez dwadzieścia cztery godziny.

Żelazne racje, które ratowały życie uczestnikom wielu wypraw, nie posiadały smaku prawdziwego pożywienia. Rynch połknął je jednak posłusznie, po czym w ślad za Hume'em zszedł na brzeg rzeki. Łowca nalał wody do zagłębienia w skale i dorzucił tam szczyptę proszku oczyszczającego.

-O zmroku może uda nam się przebić przez ten kordon - obwiesił.

-Wierzysz w to?

Hume rozesmiał się.

-Nie, ale nie należy zapominać, że istnieje taki czynnik, jak zwykle szczęście. A poza tym nie mam ochoty ginąć w miejscu, które być może oni dla nas wybrali. - Zadarł głowę, by spojrzeć na niebo. - Będziemy na zmianę trzymali wartę. Nie należy niczego próbować, dopóki się nie ściemni, chyba że rusza z miejsca. Bierzesz pierwszą wartę?

Kiedy Rynch skinął głową, Hume wpełzł do rozpadliny w skale, niczym ślimak chowający się do swej skorupy, i zasnął z taką łatwością, jakby potrafił przywołać samą siłą woli. Rynch przypatrywał mu się z ciekawością przez kilka sekund, po czym, zdeterminowany nie dać się zaskoczyć, zajął upatrzoną pozycję, z której mógł obserwować całą okolice.

Pilnujące ich stworzenia skuliły się i teraz czekały z cierpliwością, która zrobiła na nim wrażenie już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył je w lesie. Nie ruszały się i nie wydawały żadnych dźwięków. Były tam po prostu - stały na straży. Rynch nie wierzył, by ciemność nocy mogła spowodować jakiegokolwiek osłabienie ich czujności.

Oparł się o skałę, czując szorstką powierzchnię pod nagimi plecami. W zasięgu ręki położył najskuteczniejszą i najpotężniejszą broń, jaką znano na światach granicznych. Ze swego posterunku mogli cały czas obserwować wroga i myśleć.

To Hume go tu zostawił, wyposażonego w pamięć Ryncha Brodiego. Nagroda za jego znalezienie był miliard kredytek. Za wiele pracy włożono w warunkowanie, by stawka mogła być mniejsza. Rynch Brodie znalazł się na Jumali, a Hume przybył tu wraz ze świadkami, aby go odszukać. Część umysłu rozpromieniła się, uradowana precyzją rozumowania. Rynch Brodie miał zostać odkryty jako rozbitek na Jumali. Tylko że sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem Hume'a. Przede wszystkim miał on nie wiedzieć, że nie jest Rynchem Brodie. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, dlaczego proces warunkowania okazał się nieskuteczny, po chwili powrócił do problemu swej relacji z Hume'em.

Nie, Poszukiwacz Ścieżek spodziewał się dostać rozbitka odpowiadającego jego zamówieniu. Potem ta afera z obserwatorami - stworzeniami, których ludzie Gildii nie wykryli tu kilka miesięcy wcześniej... Rynch poczuł chłód w okolicy kregoslupa. Gra Hume'a to była jedna rzecz, coś, co potrafił pojąć, ale te milczące bestie stanowiły jakościowo inne i z jakiegoś powodu znacznie bardziej niepokojące zagrożenie.

Rynch przesunął się ostrożnie do przodu, spoglądając na opary mgły wirujące tuż nad powierzchnią wody, a jego umysł usiłował rozwiązać tę drugą zagadkę tak samo trafnie, jak jego zdaniem znalazł wyjaśnienie dla swych pokawałkowanych wspomnień i faktu, że przebywa na Jumali.

Gęsta mgła stanowiła dodatkowe zagrożenie, ponieważ pod jej osłoną bestie mogły podkradać się bliżej. Pistolet strzałkowy jest skuteczny, to prawda, ale można nim zabić tylko tego wroga, w którego można celować. Strzelanie strzałkami na chybił trafił spowoduje jedynie wyczerpanie magazynku bez żadnego wymiernego efektu.

A gdyby tak oni wykorzystali tę szarą mgłę i wymknęli się pod jej osłoną? Już miał iść i podsunąć ten pomysł Hume'owi. Gdy spostrzegł, że na polu ich dziwacznej potyczki z obcymi coś się dzieje.

Wzdłuż nierównej linii zakola rzeki sunął rzad migoczących świateł. Rozkolysane, frunęły w stronę poszarpanego wybrzeża wysepki. Pojawily się znikąd równie niespodziewanie jak tamte kule.

Kule i mrugające światełko na wodzie połączyły się w jego umyśle, sygnalizując nowe niebezpieczeństwo. Rynch wycelował starannie i strzelił w światełko, które osiadło na ostrym czubku skały, w miejscu, gdzie dwie odnogi rzeki rozdzielonej przez wysepkę łączyły się na powrót w jedno koryto. Zauważył dopiero teraz, że punkty świetlne poruszają się niezgodnie z prądem - płynęły w górę strumienia, coś je musiało napędzać.

Strzelił, ale światełko nie zniknęło, a w ślad za nim pojawiły się dwa następne, tworząc

teraz nieregularna grupe. Na wymytych przez wode skalach cos sie dzialo. Tak samo jak owady, ktore na ladzie uciekaly przed kulami, tak teraz stworzenia wodne wychodzily z wody i wspinaly sie na brzeg wyspy. Swiatla tymczasem zmienialy barwe - z bialej na czerwono-zolta.

Rynch wcisnal dlon w zaglebiecie w skale i odszukal przygotowany wczesniej kamien. Cisnal go w strone swiatel. Wybuch jaskrawej czerwieni, jedno zniknelo. Jakies stworzenie, przeskakujace ze skaly na skale, wydalo miaukliwy okrzyk i fiknelo koziolka prosto do wody. Po chwili mgielna smuga wdarla sie miedzy Ryncha i swiatelka, sprawiajac, ze bijaca od nich plomienna luna znacznie pobladla. Rynch zeskoczyl ze skalnej polki i szarpnieciem wyrwal Hume'a ze snu.

Jak wszyscy ludzie, ktorzy czesto przebywaja na pograniczu dzikich swiatow. Poszukiwacz Sciezek natychmiast odzyskal pelna swiadomosc.

-Co sie stalo?

Rynch podal mu reke. Mgla zgestniala, ale na powierzchni wody pojawilo sie wiecej zlowieszczych swiatel. Rozpraszaly sie na boki, tworzac mur. Z wody wynurzaly sie jakies ciemne ksztalty, ktore zaraz wskakiwaly na brzeg wyspy i wspinaly coraz wyzej, w strone skalnej polki, na ktorej stali ludzie.

-To znowu te kule, sa chyba teraz w wodzie. - Rynch znalazl drugi kamien, wycelowal starannie i rozbil nastepna kule. - Pistolet na nie nie dziala - doniosl. - Kamienie tak, ale nie wiem. dlaczego.

W poszukiwaniu amunicji przejezdzili dookola wszystkie rozpadliny, znajdujac sporo kamieni wielkosciami piesci, a tymczasem swiatelka byly coraz blizej, powoli zamykajac krag wokol wysepki. Nagle Hume krzyknal i wycelowal promiennik w dol. Lanca wybuchu przeszyla mrok niczym blyskawica.

Rozlegl sie przerazliwy pisk i tuz pod nimi od zbocza oderwala sie ciemna plama. Zdlawil ich atak kaszlu, wywolany obrzydliwym plesniowym smrodem, przemieszonym z zapachem palonego miesa.

-Pajak wodny! - stwierdzil Hume. - Jezeli oni wyganiaja je...

Zaczal czegos szukac przy swoim pasie i po chwili cisnal w dol jakimis przedmiotem, ktory wywolal strumien iskier. Iskry, ktore zetknely sie ze skala lub ziemia, zmienialy sie w wysokie i cienkie slupy ognia, rozswietlajace koszmar rozgrywajacy sie na kamieniach i skalnych zboczach wysepki.

Rynch wystrzelil strzalke z pistoletu, a promiennik Hume'a nie przestawal blyskac. Starajace sie wdrapac jak najwyzej stworzenia popiskiwal, pochrzakiwal, niektore ginely bezglosnie. Rynch nie bardzo wiedzial, jakie to gatunki zwierzat. Jedno, obdarzone

kleszczami jak padlinozeme insekty, bylo prawie wielkosci kota wodnego. A futrzaste stworzenie, z nogami jak u czlowieka i podwojna szczeka, mialo pierscien fosforescencyjnych oczu, osadzonych w zamknietym kregu wokol glowy. Atakowalo ich obce zycie, wygnane z wody.

-Swiatla, celuj w swiatla! - rozkazal Hume.

Rynch pojal. To swiatla wypedzaly z wody atakujace ich wyspe zwierzeta. Jezeli uda sie je zniszczyc, to klebiaca sie sfera prawdopodobnie powroci do swych siedzib. Upuscil pistolet, pozbieral kamienie i zaczal nimi rzucac w swiatla.

Hume strzelal do pelznacej masy, przerywajac ostrzal tylko raz, by odpalic jeden z plonacych pociskow, i oswietlic scenerie. Oszolomione, nieporadne w obcym srodowisku, wodne stworzenia byly zupełnie zdane na jego laske. Jednakze ich liczba, pomimo pietrzacych sie stosow zwlok, wciaz stanowila powazne zagrozenie.

Rynch sial spustoszenie w linii swiatel. Widzial jednak, przez mgle, coraz to wiecej dryfujacych iskier, zajmujacych swoje pozycje, wypedzajacych z wody kolejne rzesze zwierzat. Z wyjatkiem paru wyrw, wysepka byla calkowicie otoczona.

-Ach! - krzyknal glosno Hume ze wsciekloscia. Wycelowal promien w miejsce tuz pod wystepem, na ktorym stali. Olbrzymia, podzielona na segmenty i obdarzona szponami noga, wypchnieta z calej sily, wyladowala tuz pod ich stopami, odbila sie, skrecila w powietrzu i zniknela.

-Ruszaj! - rozkazal Hume. - Na gore!

Rynch nabral kamieni w obydwie garscie, przycisnal je do piersi lewa reka, a druga zamachnal sie po raz ostatni, wzniecajac tym jednak tylko niewielki klab pylu. Potem obydwaj wspieli sie na niewielki plaskowyz na szczycie wysepki. Dzieki strumieniom ognia, ktorymi strzelal lowca, widzieli, ze wieksza czesc skalnych zboczy pod nimi az roi sie od natloku fauny wodnej.

Tam, gdzie Hume trafil swoim promieniem, nastepowala goraczkowa szamotanina, poniewaz, pozostale przy zyciu stworzenia dopadaly ofiar i bily sie o lupy. Tuz za nimi pchaly sie nastepne.

-Zostala mi juz tylko jedna flara - oswiadczył Hume.

Juz tylko jedna flara. A zatem zaraz otocza ich zupełnie ciemnosci, dokładnie skrywajace nacierajaca armie.

-Ciekawe, czy te potwory obserwują nas teraz? - Rynch ponuro zapatrzył się w mrok.

-Albo one, albo to coś, co je tu przysłało. Wiedza, co robią.

-Twoim zdaniem w przeszłości też tak postępowały?

-Chyba tak. Kapsuła ratunkowa była właściwie wyposażona na wypadek awaryjnego lądowania, a w jej bagażnikach brakuje części zapasów.

-Przecież to wy je stamtąd wyciągnęliście... - odparował Rynch.

-Nie. Tu mogli wylądować prawdziwi rozbitkowie, choć nie znaleźliśmy żadnych śladów. Teraz już się domyślam, dlaczego...

-Ale przecież wy, ludzie Gildii, byliście tutaj i nie wykryliście tych stworów!

-Wiem. - Głos Hume'a zdradzał zmieszanie. - Wtedy nie znaleźliśmy ani śladu.

Rynch cisnął ostatnim kamieniem i usłyszał, że nieszkodliwie toczy się po skalach. Hume wazył na dloni jakiś przedmiot.

-Ostatnia flara!

-Co to jest? O tam!

Rynch dostrzegł, jak na pociemniałym brzegu rzeki coś błyska, tworząc migotliwy wzór, zupełnie odmienny od piekielnych świateł otaczających wysepkę.

Hume wycelował promiennik w niebo i odpowiedział serią krótkich wybuchów.

-Kryj się!

Wolanie nadbiegło w dużej wysokości ponad wodą. Tak zniekształcone, że wcale nie przypominało głosu człowieka. Hume przyłożył dłoń do ust i odkrzyknął:

-Jesteśmy na gorze, bez osłony!

-Kładźcie się, strzelamy!

Położyli się. przytuleni do siebie, skuleni na ciasnej przestrzeni. Nawet przez zamknięte powieki Rynch widział, jak brzegi wyspy smagają oslepiające, miotane ludzka reka błyskawice, które zmieniają pelzające monstra w cuchnący popiół. Podmuchy wybuchów musiały ogarnąć także światła, bowiem gdy Rynch i Hume wyprostowali się ostrożnie, zobaczyli jedynie garstkę rozproszonych, przygasających kul.

Dławili się, kasłali, ocierali zalzawione oczy. Dyni buchający ze zwęglonych skat zasnuł doszczętnie wysepkę.

-Nad wami kopter i lina ratunkowa!

Głos dobiegł z pustej przestrzeni ponad ich głowami. Zobaczyli koniec liny, na końcu której przymocowany był pas. Druga lina dopiero się rozwijała.

Jak jeden maz schwycili liny i spieli się pasami.

-Ciagnijcie! - zawołał Hume.

Liny napreżyły się i obydwaj zawisli nad wysepka. Niewidzialny pojazd przeniósł ich na wschodni brzeg.

8

Z szarych ścian padło przytłumione, jednostajne światło. Leżał na plecach w pustej celi. Powinien się ruszyć, zanim przyjdzie Salarkianin Darfu i rozkaze mu wstać potężnym kopniakiem lub jednym z tych ciosów na odlew, którymi zwykł zmuszać ludzi do posłuszeństwa. Vye zamrugł. Nie leżał wcale w swojej izdebce w "Roju Gwiazd". Mówił mu to zarówno nos, jak i oczy. Nie było tu śladu brudu czy zgnilizny. Usiadł sztywno i popatrzył na swoje ciało z tępym zdumieniem. Brazowe i nagie, ubrane jedynie w szeroki pas z luskowatej skóry i skrawek tkaniny na łydźwiach. Na stopach miał ciężkie sandały, a całe nogi, aż po uda, były obłożone uzdrawiającymi plastrami i upstrzone sincami.

Z wysiłkiem nakłaniał swój umysł, równie zeszywniały jak ręce i nogi, usiłując sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia. Pamięć niezdarnie kojarzyła obrazy.

Ostatniej nocy - albo wczoraj - został tu zamknięty Rynch Brodie. A to miejsce znajdowało się w jednym z przedziałów ładunkowych statku kosmicznego należącego do człowieka zwanego Wassem. To właśnie pilot Wass wykradł ich kopterem z rzecznej wysepki oblezionej przez potwory.

Był to tajny, ufortyfikowany oboz - kryjówka Wass. Vye stał się więźniem, którego bardzo niepewna przyszłość zależała od woli VIP-a oraz człowieka nazwiskiem Hume.

Hume nie pokazał po sobie zdziwienia, kiedy w świetle lampy pojawił się Wass, by powitać wyratowanych.

-Widzę, że byłeś na polowaniu.

Jego wzrok przesunął się z Hume'a na Ryncha i z powrotem.

-Tak, ale to nie ma znaczenia! - odparł łowca ze zniecierpliwieniem w głosie.

-Nie? To w takim razie, co ma znaczenie?

-To nie jest nie zamieszkały świat, muszę zdać z tego raport. Zabierz moich klientów z tej planety, zanim coś im się stanie!

-Myslałem, że wszystkie swiaty safari zostaly zarejestrowane jako nie zamieszkané - odparowal Wass.

-Ten do nich nie nalezy. Nie wiem, jak to sie stalo i dlaczego. Ale ten fakt musi zostac zgloszony, a klienci...

-Nie tak szybko. - Wass mowil cichym, nieomal lagodnym glosem. - Patrol zainteresowalby sie takim raportem, prawda?

-Jasne... - zaczal Hume i urwal nagle.

Wass usmiechnal sie.

-Widzisz sam, juz komplikacje. Nie chce niczego wyjasniac Patrolowi. Ty zapewne tez nie, moj mlody przyjacielu, jezeli choc chwile zastanowisz sie nad tym, co mogloby wyniknac z takich wyjasnien.

-Nie byloby zadnych klopotow, gdybys sie trzymal z dala od Jumali. - Hume odzyskal panowanie nad soba; kontrolowal juz swoj glos i gesty. - Czy raporty Rovalda nie byly dostatecznie dokladne, zeby cie zadowolic?

-Ryzykowałem bardzo wiele przy tym projekcie - odparl Wass. - A poza tym szef powinien od czasu do czasu kontrolowac swych ludzi. Robia sie nieuważni, jesli sie ich nie pilnuje. A zreszta chyba naprawde dobrze, ze sie tu zjawilem, czy nie tak, lowco? Czy moze wolalbys dalej tkwic na wyspie? Trzeba sie zastanowic, czy nie da sie uratowac ktoregos z naszych planow, ale na razie nie wykonamy zadnego ruchu. Nie, Hume, twoi klienci beda musieli radzic sobie sami jeszcze przez jakis czas.

-A jesli pojawia sie klopoty? - zaatakowal go Hume.

-Raport o ataku obcych z pewnoscia sprowadzi tu Patrol.

-Zapominasz o Rovaldzie - upomniat go Wass. - Szansa, ze ktoremus z twoich klientow uda sie uruchomic przekaznik na statku, jest niewielka, a Rovald juz dopilnuje, by nie bylo jej wcale. Jak widze, znalazles Brodiego.

-Tak.

-Nie!

Co go opetalo, zeby zaprzeczac? Glupote swojego wybuchu dostrzegl natychmiast we wzroku Wass.

-To wszystko staje sie coraz bardziej interesujace - zauwazyl VIP ze zwodnicza lagodnoscia w glosie. - Jestes Rynchem Brodie, rozbitkiem z largo drift, nieprawdaz? Ufam,

iz Poszukiwacz Ściezek wyjaśnił ci, jak wielkie znaczenie ma dla nas twoje dobro, szlachetny panie Brodie.

-Nie nazywam się Brodie.

Był tak uparty, że zdecydował się na skok w niebezpieczne wody prawdy, nadal chciał w nich pływać.

-To doprawdy niezwykle frapujące. Skoro nie jesteś Brodiem, to kim w takim razie jesteś?

W tym właśnie tkwiło sedno sprawy. Nie potrafił powiedzieć Wassowi, kim jest, wyjaśnić, że platanina jego wspomnień jest pełna ogromnych luk.

-A ty. Poszukiwaczu Ściezek - jadowite spojrzenie Wassa przeniosło się z powrotem na Hume'a - może ty potrafisz wyjaśnić należycie te rewelacje.

-To nie jego sprawa - wybuchnął. - Zapamiętałem... Jakies niewytłumaczalne uczucie kazało Rynchowi wstawić się w tym momencie za Hume'em.

O dziwo, Hume rozesmiał się bez troski.

-Tak, Wass, twoi technicy nie są tak dobrzy, za jakich się uważają. Nie postępował zgodnie z mechanizmami, które w nim zaszczepili.

-A szkoda. Niestety, coś za często dochodzi do pomyłek, gdy mamy do czynienia z czynnikiem ludzkim. Peake! - Jeden z trzech mężczyzn podszedł bliżej. - Odprowadzisz tego młodego człowieka do statku i dopatrzysz, by został bezpiecznie ukryty. Naprawdę szkoda. Musimy teraz sprawdzić, ile się da uratować.

Vye został zaprowadzony do zamkniętego pomieszczenia, gdzie dano mu pojemnik z żywnością i pozostawiono samemu sobie wśród czterech nagich ścian. Tam mógł do woli zastanawiać się nad korzyściami płynącymi z gadania, co ślina na język przyniesie. Jak mógł być taki bezzwrotny? VIP kalibru Wassa nie zwykł pływać w bagnistych kanałach "Roju Gwiazd", lecz rasa takich jak on ma tam swych ostatnich, choć równie groźnych przedstawicieli. Na tej podstawie Vye mógł łatwo przewidywać, że jest to człowiek bezlitosny, silny i dokładny.

Zaalarmował go jakiś dźwięk, delikatny, lecz łatwo słyszalny w cichej przestrzeni kabiny magazynowej. Na widok szczeliny w rozsuwanych drzwiach przychylił się, chwytając pojemnik z żywnością, jedyną dostępną bronią. Do środka wszedł Hume i bezzwłocznie zamknął za sobą drzwi. Łowca przyłożył ucho do ściany, najwyraźniej nasłuchując.

-Ty przemadzały idioto! - przemówił szeptem. - Musiałeś wczoraj tak klapnąć szczęką? Posłuchaj mnie teraz uważnie. To będzie duże ryzyko, ale musimy spróbować.

-My? - wyrwalo sie Vye'owi.

-Tak, my! Powinienem cie tutaj zostawic, zebys mogl dalej sie tak popisywac przed Wassem. To wlasnie bym zrobil, gdybym cie nie potrzebował! Gdyby nie klienci... - Gwałtownie pochylił głowę, przywarł policzkiem do ściany, znowu nasłuchiwał. Po dłuższej chwili na nowo zaczął szeptać: - Nie mam czasu, żeby to wszystko powtarzać. Za jakieś pięć minut przyjdzie tu Peake zjedzeniem. Ja wyjde stad wczesniej, ale nie zarygluje drzwi. Po przeciwnej stronie korytarza jest druga kabina magazynowa; sprawdź, czy mozesz sie w niej ukryc, potem zwab go tutaj i zamknij. Zrozumiales?

Vye skinal glowa.

-Nastepnie idz do komory wyjsciowej. Wez to. - Wyciagnal zza pasa jakis pakiet. - To sa flary, widziales na wyspie, jak one dzialaja. Wyjdz na rampe i rzuc jedna. Powinna uderzyc w barriere silowa obozowiska i odwrocic ich uwage. Potem biegnij do koptera. Zrozumiales?

-Tak.

Tak, kopter znakomicie nadawal sie do ucieczki. Przez barriere silowa mozna sie bylo przedostac tylko gora.

Hume spojrzal ponuro na Vye'a, jeszcze raz sprawdzil, czy nie slyszy niczego podejrzanego, i wyszedl. Vye wolno policzyl do pieciu, po czym wyszedl w slad za nim. Kabina po drugiej stronie korytarza byla otwarta, tak jak mowil Hume. Wslizgnal sie do srodka i czekal.

Peake juz nadchodzil, metalowe podeszwy jego butow wydawaly miarowy stukot. Zatrzymal sie, wlozyl kontener z jedzeniem pod pache i zabral sie do odciagania sztaby na drzwiach drugiej kabiny.

Vye natychmiast przystapil do dzialania. Z calej sily zdzielil Peake'a piescia w plecy, powalajac go na podloge, a potem nieprzytomnego wrzucil do pomieszczenia, ktore dotychczas bylo jego wiezieniem. Nim tamten zdolal stanac na nogi albo zorientowac sie w sytuacji, zatrzasnal drzwi i nalozyl sztabe.

Pedem pokonal korytarz prowadzacy do klatki schodowej i zbiegl po szczeblach zamocowanej tam drabiny ze zwinnościa, która zrodzila w nim naglaca potrzeba chwili. Szybko ocenil swoje polozenie. Po lewej stronie znajdowal sie kopter, a po prawej grupa ludzi oswietlonych jaskrawym blaskiem atomowej lampy.

Vye wszedl na rampe i otarl o udo spocona dlon. Nie wolno zle rzucic tej flary. Wybrawszy miejsce, znajdujace sie niezupełnie w jednej linii z lampą, lecz wystarczajaco blisko grupy mezczyzn, cisnal flare z cala sila, na jaka go bylo stac. Potem dlugimi susami pokonal rampe i pobiegl w strone statku.

Blysk i glosne okrzyki - Vye stlumil odruch, by obejrzec sie za siebie i dalej pedzil do koptera co sil w nogach. Z rozmachem otwarl drzwi kabiny i wslizgnal sie do ciasnej przestrzeni za siedzeniem pilota zostawiajac z przodu miejsce dla Hume'a. Krzyki byly coraz liczniejsze - widzial ogien, pomykajacy drzacymi liniami od ziemi ku niebu, wzdluz calej bariery.

Na tle sciany ognia ukazala sie czarna sylwetka biegnacego co sil w nogach mezczyzny. Hume minal statek, wspial sie do otwartego kokpitu koptera i wsunal za pulpit kontrolny. Nie czekajac na nic, odciagnal dzwignie. Wzniesli sie pionowo z predkoscia, ktora wbila Vye'owi zoladek do gardla.

Scigajaca ich linia ognia jednego przynajmniej blastera leciala za wolno i za nisko. Uslyszal, jak Hume cos mruzy do siebie i znowu poderwali sie wyzej.

-Najwyzej pol godziny - powiedzial Hume.

-Do obozu safari?

-Tak.

Przestali sie juz wznosic. Kopter rwal do przodu niczym pocisk, przedzierajac sie przez mrok nocy.

-Co to jest? - Vye nagle pochylil sie do przodu.

Czyzby jakies gwiazdy z kosmicznej prozni wyrwaly sie na wolnosc ze swych stalych orbit? W strone rozpedzonego koptera mknely w polkolistej formacji swietlne punkty.

Hume nacisnal jakis guzik - kolejny, gwaltowny skok wyniosl ich ponad zablakane ogniki, lecz okazalo sie, ze na nowym pulapie frunie ich jeszcze wiecej. Lecialy wprost na kopter.

-Zwykly kurs zderzeniowy - mruknal Hume, bardziej do siebie niz do Vye'a.

Kopter ponownie nabral predkosci. Wtem w gladki warkot zespolu napedowego wdarly sie jakies falszywe nuty, a po chwili silniki zarzezily protestujace. Hume zaczel majstrowac przy przyciskach kontrolnych, a na jego czole i skroniach pojawily sie paciorki potu, widoczne w blasku swiatel kabiny.

-Silniki gasna!

Zatoczyl szeroki krag i warkot zabrzmial ponownie jednostajnym, uspokajajacym rytmem.

-Wyprzedz je!

Vye obawial sie jednak, ze w walce z nieznanymi mocami znowu znalezli sie po przegranej stronie. Poprzednio zaganiano ich do rzeki, teraz zachodzono ich na niebie, spychajac w

strone gor. Wrog scigal ich w powietrzu!

Resztki uporu kazaly Hume'owi walczyć. Wzlatywal coraz to wyzej i zawsze napotykal wykwitajace przed nim, poskrecane szeregi swietlnych punktow, ktorzych oddziaływanie na silniki kopłera grozilo katastrofa.

Vye nie miał teraz najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się którykolwiek z obozow. Domyslal się, że Hume też nie bardzo orientuje się w ich polozeniu.

Hume wlaczyl przekaznik i rozpaczliwie probowal znalezc polaczenie, az w koncu uslyszeli szczek sygnalu - automatyczna odpowiedz z obozu safari. Wowczas jego palce wystukaly na klawiaturze serie zakodowanych dzwiekow ostrzegajacych przed niebezpieczenstwem.

-Wass ma człowieka w naszym obozie. Jest zagrozony w takim samym stopniu jak pozostali. Raczej nie zlozy raportu Patrolowi, niemniej jednak byc moze nie wylaczy bariery silowej i nie wypusci klientow... tylko ze pozniej, kiedy Gildia sprawdzi nagrane raporty, bedzie to powod do oskarzenia go o zaniedbanie i probe zaboystwa. Moje ostrzezenie nagralo się własnie na statku i zostanie przejele przez Gildie... Rovald raczej nie jest w stanie zmienic tresci tego raportu i wie o tym. Tylko tyle mozemy na razie zrobic...

-Czy wiesz cokolwiek o tych terenach? - nalegal Vye. Wiedza Hume'a mogla byc ich jedyna nadzieja.

-Przelatywalem nad tym lancuchem dwa razy. Nie ma tu nic godnego uwagi.

-Ale cos tu na pewno jest.

-Nasze badania niczego nie ujawnily.

Hume mowil zmatowialym ze zmeczenia glosem.

-Jestes człowiekiem Gildii, miales juz przedtem do czynienia z formami obcego zycia...

-Gildia nie zajmuje się inteligentnymi stworzeniami. To sprawa Patrolu. Nie ladujemy na planetach, na ktorzych wystepuja nie znane formy inteligentnego zycia. Po co narazac się na klopoty, w takich warunkach nie mozna organizowac safari. Specjalisci z Rady Patrolu uznali Jumale za dziki swiat, a nasze badania to potwierdzily.

-Czy ktos lub cos moglo tu wyladowac po waszym odjezdzie?

-Nie sadze, to zbyt dobrze zorganizowana akcja. A poniewaz mamy satelite w kosmosie, kazdy pojazd ladujacy tutaj zostalby zauwazony i zarejestrowany. Na ekranach Gildii nie pojawila się taka informacja. Jeden maly statek, taki jak statek Wass, mogl się przeslizgnac dzieki znajomosci procedury, ale zeby wyladowac ze wszystkimi tymi bestiami i sprzetem, potrzebowaliby normalnego transportu. Nie, to musza byc jacys tubylcy.

Hume pochylił się do przodu i nacisnął jakiś guzik. W odpowiedzi na głównej tablicy zabłysło małe czerwone światelko.

-Alarm radarowy - wyjaśnił.

Dzięki temu ostrzeżeniu udało im się nie roztrzaskać o ścianę jakiegoś klifu; było to jednak niewielka pocięcha wobec innych straszliwych ewentualności.

Hume w porę zauważył niebezpieczeństwo. Światelko mrugało coraz szybciej, a automatyczny pilot, współdziałający z radarem, zmniejszył prędkość koptera. Hume nie zdjął rąk z pulpitu, lecz system przekaznikowy samorzutnie uruchomił urządzenia ratunkowe w czasie, w którym człowiek nie zdążyłby nawet pomyśleć o tym.

Pulap lotu został obniżony, system radarowy wybrał najlepsze posunięcie. Automatycznie teraz sterowany kopter leciał prosto do optymalnego miejsca lądowania. Kilka minut później podwozie dotknęło powierzchni, chwile potem umilkły silniki.

-To tyle - powiedział Hume.

-Co teraz zrobimy? - dopytywał się Vye.

-Będziemy czekać...

-Czekać! Na co?

Hume zerknął na swój zegarek wskazujący czas planetarny.

-Została jeszcze jakaś godzina do świtu, jeśli świt zapada tutaj o tej samej porze, co na równinach. Nie ma po co błądzić w ciemnościach.

Brzmiało to sensownie. Tylko że siedzenie tutaj, w milczeniu, w ciasnocie, w niewiedzy, co ich czeka na zewnątrz, było próbą, którą Vye nie bardzo chciał znosić. Hume pewnie zdawał sobie sprawę z tego, co chłopak czuje, być może zresztą tylko postępował zgodnie z rutynową procedurą, bo odwrócił się, rozsunął jeden z bocznych paneli i wyciągnął sprzęt ratunkowy przeznaczony dla ładujących awaryjnie pilotów.

9

Zapakowali racje żywnościowe do niewielkich plecaków. Pocieli koc z wodoodpornego, lekkiego jak puch jedwabiu, tkanego z pajęczyn pajaków ozakijskich, by Vye miał się czym okryć. Szybciej pozwoliło im zbliżyć czas do chwili, kiedy szarzejące niebo ukazało im pełną panoramę kotliny, w której wylądował kopter. Tworzył ją szeroki nawis z granatowego kamienia, wrzynający się w ciemną plamę roślinności porastającej górę. Po prawej stronie było urwisko, a kilka stop z tyłu za kopterem zaczynało się zbocze. Przed nimi biegła ukosnie w górę zbiegająca się ścieżka.

-A może znowu wzbijemy się w powietrze? - Vye bardzo pragnął usłyszeć, że jest to w ogóle możliwe.

-Spójrz w górę!

Vye oparł się o ścianę klifu i spojrzał na niebo. Na dużej wysokości wciąż unosiły się szwadrony kul, niezmordowanie zataczających szerokie kregi.

Hume podszedł ostrożnie do skraju nawisu i obejrzał przez lornetkę podstawę urwiska.

-Na razie nic się nie dzieje.

Vye wiedział, co to oznacza. Fruwające nad nimi kule jeszcze nie wezwały niebieskich bestii, czy jakichś innych, współdziałających z nimi stworzeń.

Zalozili plecaki i ruszyli brzegiem nawisu. Hume miał przy sobie promiennik, ale Vye był zupełnie bezbronny. Mogł zdobyć dla siebie bron jedynie podczas tej wędrowki. Kamienie, którymi udawało się niszczyć świetlne punkciki oblegające wyspę na rzece, mogły się okazać równie skuteczne w obronie przed bestiami. Dlatego stale się rozglądał dookoła w poszukiwaniu odpowiednio dużych i ciężkich pocisków.

Mineli zakręt, tracąc swój pojazd z oczu. Ścieżka stała się znacznie wezsza, przez co podczas marszu ocierali się ramionami o ścianę zbocza. Kule nie przestawały krążyć.

-Nadal idziemy tak, jak one chcą - stwierdził Vye.

Hume opuszczał się na czworaki, by móc zejść ze stromego zbocza. Po jego pokonaniu przystanęli na odpoczynek, Vye znowu spojrzał w górę. Niebo było puste.

-Może już doszliśmy albo zaraz dojdziemy - powiedział Hume.

-Do czego?

Hume wzruszył ramionami.

-Wiesz tyle samo co ja. I pewnie oboje się mylimy.

Stroma ścieżka, obiegająca skalną ścianę, nie łączyła się z samym wierzchołkiem zbocza, ale przynajmniej była równa i nieco szersza, dzięki czemu nie musieli już tak bardzo uważać na swoje kroki. Po chwili znaleźli się w rozpadlinie utworzonej przez dwie wysokie skały i zaczęli schodzić w dół.

Ta ścieżka jest nienaturalnie równa, pomyślał Vye, zupełnie jakby wykuto ją dla wędrowców. W tym momencie szlak wyprowadził ich na skraj zadrzewionej doliny, pośrodku której znajdowało się jezioro. Zeszli ze skalnej powierzchni na torfowe podłoże, uginające się sprężyste pod ich stopami.

Nagle Vye uderzył sandalem o okrągły kamień. Wystawał z niebiesko-zielonego poszycia, zając dwoma ślepyimi otworami. Ludzka czaszka.

Hume ukląkł i rozgarnawszy poszycie, delikatnie unosił wiązanie kregów. Przez krótką chwilę przyglądał się miejscu, w którym kregosłup był zmiadzony i przerwany, po czym delikatnie ułożył kości tak samo, jak leżały przedtem.

-To zostało zrobione zębami!

Misa zielonej doliny nie uległa żadnej zmianie. Odkąd wyszli z rozpadliny, nic się jeszcze nie stało. Jednak trudno się było oprzeć wrażeniu, że każda kepa drzew, każdy krzew kołyszący się na wietrze kryje w sobie coś strasznego. Vye oblizwał wargi i oderwał wzrok od czaszki.

-Zupełnie zwietrzała - powiedział powoli Hume. - Leży tu pewnie od wielu sezonów, a może nawet lat.

-Czy to jakiś rozbitek z kapsuły? Przecież to miejsce jest oddalone o wiele dni drogi od tamtej polany na równinie. Jak on się tu dostał?

-Prawdopodobnie ta sama droga, która my doszlibyśmy tutaj, gdybyśmy nie uciekli na wysepke...

Przygnano go tutaj! Być może to właśnie kule albo niebieskie bestie zapędziły rozbitek do tej ślepej doliny. To znaczy, że ten proces trwa już od dłuższego czasu.

-Dlaczego?

-Mogę ci podać dwa wyjaśnienia. - Hume przyglądał się zmrużonymi oczyma najbliższemu drzewom. - Po pierwsze, każdy, kto przybywa na Jumale, niezależnie od motywów przybycia, jest intruzem, którego trzeba poddać kontroli, zostaje więc przygnany do tej doliny. Po drugie... - zawahał się.

Wyobraznia podał już Vye'owi ten drugi powód, tak ohydny, że ledwie potrafił wypowiedzieć go na głos:

-Przerwany kregosłup... ten człowiek został pozarty...

Vye pragnął, by Hume zaprzeczył, ale wyraz twarzy łowcy był dostatecznie wymowny.

-Wynosmy się stąd!

Vye resztki opanowania rzucił przeciwko ogarniającej go panice. Z trudem się powstrzymał, by natychmiast nie uciec w stronę rozpadliny, która tu weszli. Wiedział też, że za nic nie pojedzie dalej, w głąb tej złowieszczej doliny.

-Jesli nam sie uda!

Slowa Hume'a zadzwieczaly potwornym echem w jego uszach.

Kule krazace nad rzeka udawalo sie rozbijac kamieniami. Vye postanowil, ze jesli znowu je zobaczy, to rzuci sie na nie z golymi rekoma i bedzie je rozrywal na strzepy. Hume musial myslec podobnie, bo ruszil zdecydowanym krokiem w strone wyjscia na zbocze.

Okazalo sie jednak, ze rozpadlina w skalnej scianie jest zamknieta. Stopa Hume'a, podniesiona do ostatniego kroku, uderzyla w niewidzialna przeszkode. Obrocil sie, chwytajac Vye'a za ramie.

-Tam cos jest!

Chlopiec z niedowierzaniem wyciagnal reke. Jego palce nie rozplaszczily sie na twardej, litej powierzchni, lecz na niewidocznej, elastycznej zaslonie, ktora uginala sie nieznacznie pod dotykiem, natychmiast naprezajac znowu.

Razem zbadali to, czego oczy nie widzialy. W poprzek rozpadliny, przez ktora weszli, rozposcierala sie teraz zaslonka. Nie potrafili jej ani przebic, ani zerwac. Hume usilowal zniszczyc ja strzałem z promiennika. Patrzyli jak cienki plomyk pelznie w gore i w dol, nie pozostawiajac jednak najmniejszego sladu na niewidzialnej barierze.

Hume przymocowal promiennik do pasa.

-Zlapali nas w pulapke.

-Moze znajdziemy jakies inne wyjscie!

Vye byl juz jednak absolutnie pewien, ze to plonna nadzieja.

Tworcy pulapki na pewno nie zostawili zadnych wyjsc. Jest jednak cos takiego w ludziach, ze nigdy nie poddaja sie bez walki, i dlatego wlasnie Hume i Vye ruszyli w droge, nie srodkiem doliny, lecz wzdluz jej zbocza.

Zagradzajace droge bujne zarosla i grupy drzew zmuszaly ich do powolnego schodzenia w dol. Znajdowali sie juz w sporej odleglosci od rozpadliny, gdy Hume zatrzymal sie, podnoszac ostrzegawczo dlon. Vye wytezyl sluch, starajac sie wychwycic dzwiek, ktory zaalarmowal jego towarzysza.

Nic. Zdal sobie sprawe, ze tu w ogole nic nie slychac. Rowniny rozbrzmiewaly chorem popiskiwan, buczenia i swiergotu milionow mieszkancow trawy. Tutaj panowala cisza, zaklocana jedynie przez szum wiatru i nieliczne odglosy owadzich skrzydel. Prawdopodobnie wszystkie stworzenia wieksze od jumalanskiej muchy dawno temu uciekly z tego miejsca.

-Po lewej.

Hume obrócił się w drugą stronę.

Tam również rosły gęste zarośla, zbyt niskie, by ich cień mógł cokolwiek skryć. Stworzenie, które się tam ruszało, musiało czołgać się z tyłu.

Vye rozejrzył się dookoła rozszalałym wzrokiem, w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby mu posłużyć jako broń. Wreszcie schwycił długą maczetę, którą Hume miał zatknietą za pasem. Osiemnastocalowe ostrze z grubej stali lśniło złowrogo, a rekojesc pasowała jak ulał do jego dłoni, gdy podniósł broń przed sobą w obronnym geście.

Hume podchodził powoli do krzewu, a Vye skradł się po jego lewej stronie, w odległości zaledwie kilku kroków. Łowca potrafił znakomicie posługiwać się promiennikiem; również takiej umiejętności wymagano od prowadzących safari. Vye natomiast mógł zaproponować inną pomoc. Zdjął z pleców zawiniątko z koca i cisnął je daleko przed siebie.

Pomysł okazał się skuteczny - z zarośli wyskoczyła ruda smuga i wylądowała tuż obok przynety. Hume wypalił z promiennika. Odpowiedział im przenikliwy wrzask kota wodnego. Zwierze zdechło w straszliwych meczarniach, wśród woni spalonego futra i mięsa. Po krótkiej chwili Vye wyciągnął plecak z zacisniętych na nim pazurów.

-Dziwne.

Hume schwycił wciąż drgająca przednią kończynę i rozciągnął ciało kota jednym, mocnym szarpnięciem. Był to olbrzymi samiec, większy od wszystkich, jakie kiedykolwiek napotkał. Gdy jednak przyjrzał mu się uważniej, zauważył wyraźne pierscienie zeber pod zmierzwionym futrem, a skóra miała zbyt mocno opiętą na czaszce. Kot wodny był bliski śmierci z głodu; najprawdopodobniej to desperacja zmusiła go do ataku na ludzi.

-Ani wyjścia, ani pozywienia - Vye głośno skojarzył jedną myśl z drugą.

-To prawda. Pozamykać wrogów w jednym miejscu, pozwolić, by się nawzajem wykończyli.

-Ale po co? - dopytywał się Vye.

-Tak jest łatwiej.

-Na równinach jest mnóstwo kotów wodnych. Nie da się ich zagnać tu wszystkich, żeby się nawzajem wykończyły. To by potrwało całe lata, nawet stulecia.

-Być może tego schwytano przypadkiem albo w celu podtrzymania jakiegoś procesu - odparł Hume. - Nie wierzę, że to wszystko urządzono tylko w celu wymordowania kotów wodnych.

-Przypuszcmy, że to wszystko zaczęło się jakiś czas temu, a ci, którzy to zrobili, odeszli, więc teraz to wszystko działa samoistnie, bez kontroli jakiegokolwiek inteligencji. Może tak być, nieprawdaz?

-Cały proces uruchamia się, kiedy w tej części Jumali ładuje statek, a być może wtedy, gdy planeta znajduje się w jakichś specjalnych warunkach. Tak, to się wydaje sensowne. Tylko dlaczego załoga pierwszego statku Patrolu nie wpadła w tę pułapkę? Nasza grupa zwiadowcza spędziła tu wiele miesięcy na sporządzaniu katalogów i map... nie było mowy o takim problemie.

-Tamten martwy człowiek przybył tu dawno temu. Kiedy zniknął Largo Drift?

-Pieć, sześć lat temu. Nie umiem ci jednak nic wytłumaczyć. Sam nic nie rozumiem.

Zaczęło się od niskiego buczenia, ledwie słyszanego na tle dalekiego szumu wiatru. Potem natężenie dźwięku wzrosło i ciche skomlenie przeszło w lamentujący krzyk, torturujący uszy wywlekający z ukrycia te leki, które czuje człowiek stając wobec czającej się w mroku tajemnicy.

Hume schwycił Vye'a i zaciągnął go siłą za kepe krzaków. Podrapani do krwi stali w niewielkim zagłębieniu, po kolana zanurzeni w liściach. Łowca wyprostował stratowane galezie. Z ukrycia obserwowali polane, na której leżało ciało kota wodnego.

Skowyt ustąpił zupełnie nagle, co potraktowali jako dodatkowe ostrzeżenie. Vye dotknął ziemi i wyczuł wibrowanie. W ich stronę szło coś niezwykle ciężkiego.

Czy to zapach śmierci przyciągnął owo nieznane stworzenie? A może cały czas szło za nimi? Hume głośno wciągnął oddech. Wsunął promiennik między skrywające ich liście, ustawił celownik.

Sapanie, głośniejsze od ludzkiego. Po drugiej stronie polana pojawiła się niewyraźna plama cielska jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Gwałtownym ruchem rozgarnęło liście i galezie krzaków, nieomal wrywając je z korzeniami. Gdy wyczłapalo na otwartą przestrzeń, okazało się, że wygląda jak daleki kuzyn niebieskich bestii. Jeśli jednak tamte budziły tylko wrażenie brutalności i zagrożenia, to stworzenie, wyższe od Hume'a przygarbione i pozbawione szyi, stanowiło żywe wcielenie najczystszej okrucieństwa. Zaokrąglona dolna szczeka szczyrzyła monstrualne kły, uosobienie drakulicznych snów.

Wyraźnie wyglodniały potwór porwał trupa kota wodnego i pozarł bez żadnych ceregieli. Vye przypomniał sobie zmiadzony kregosłup ludzkiego szkieletu i poczuł, jak chwytają go mdłości. Stwor zakończył ucztę, podniósł się na tylne łapy i obrócił groszkowaty łeb w drugą stronę. Vye czekał w napięciu, pewien, że zaraz wysunie rurkowaty nos, wciągnie powietrze i złapie ich trop.

Hume uruchomił promiennik. Bezgłosna włocznia śmierci uderzyła w sam srodek

beczkowatego cielska. Stworzenie zawyło i rzuciło się jak oszalałe na ich krzak. Hume wyceLOWał po raz drugi w jego szpetny łeb i spopielił do gołej kości porastająca go sierść.

Chybiając o jeden krok, bestia runęła prosto w gąszcz. Targana drgawkami osunęła się na kolana i zaczęła donosnie wyc. Mężczyźni wypadli z zarośli na otwartą przestrzeń i ukryli się za skalnym kominem, wylupanym z macierzystego klifu. Krzaki na dole zbrocza wciąż poruszały się gwałtownie.

-Co to było? - wyjąkał Vye między urywanymi oddechami.

-Może to strażnik, którego obowiązkiem jest niszczenie wszystkich więźniów doliny. Prawdopodobnie nie jest sam. - Hume przejechał palcami po promienniku. - Został mi już tylko jeden magazynek.

Vye obrócił noż trzymany w rękach i próbował sobie wyobrazić, w jaki sposób walczyłby z potworem za pomocą tak lichej broni. Jeśli jednak stwor miał jakichś towarzyszy, to żaden z nich nie przybył w odpowiedzi na przedśmiertne wycie. A kiedy nastąpiła cisza, Hume gestem dłoni nakazał Vye'owi wyjść z ukrycia.

-Od tej pory będziemy się trzymali otwartych przestrzeni, bo lepiej zawczasu widzieć nadciągające niebezpieczeństwo. Chciałbym też znaleźć jakieś schronienie na noc.

Wedrowali górnymi partiami stromego zbrocza i po jakimś czasie doszli do łożyska wyschniętego strumienia i koryta wodospadu. Tworzący go nawis nie był zbyt głęboki, ale od biedy mógł posłużyć za schronienie. Z nagromadzonych galezi i kamieni utworzyli barykadę, potem zasiedli za nią, by posilić się, oszczędnie dawkując prowiant.

-Tam na dole jest jezioro. Najgorsze, że woda w tak suchej krainie zawsze przyciąga drapieżniki. To jezioro jest całkowicie otoczone lasem, który na pewno kryje w sobie tysiące zasadzek.

-Może uda nam się znaleźć wyjście, zanim opróżnimy bukłaki - stwierdził Vye.

Hume nie odpowiedział od razu.

-Człowiek może żyć bardzo długo ze skąpymi racjami żywności, a my mamy jeszcze tabletki z zapasów koptera. Ale nie da się długo żyć bez wody. Mamy dwa bukłaki. Nawet jeśli będziemy bardzo oszczędzali, wystarczą nam na dwa, najwyżej trzy dni.

-Powinnismy obejść te zbrocza w ciągu jednego dnia.

-Jeśli nawet znajdziemy wyjście, w co wątpię, dla dalszej wędrowki nadal będziemy potrzebowali wody. Ta woda tam czeka, i będzie nas wabić, dopóki pragnienie nie stanie się większe niż strach czy pomysłowość.

Vye poruszył się niecierpliwie, ocierając o ściane osłoniętymi kocem ramionami. - To znaczy, że nie mamy szans!

-Jeszcze nie zginelismy! Tak długo, jak człowiek oddycha, stoi na własnych nogach i zachowuje rozum, zawsze ma szansę. Niejedną walkę wygrałem na pogranicznych światach, choć szansę nie zawsze były po mojej stronie. - Napreżył dłoń z plastu-ciała, do złudzenia przypominająca ludzka, a przecież stanowiąca symbol tego, co kiedyś zmieniło całe jego życie. - Dawno temu stanąłem na skraju śmierci, po czym takim można przywyknąć do wszystkiego.

-Ja teraz pragnę tylko jednego... dopaść tego, kto zastawił na nas pułapkę - stwierdził Vye.

Hume zaśmiał się cierpko.

-Zupełnie jak ja, chłopcze. Ale zdaje się, że długo nam przyjdzie czekać na takie spotkanie.

10

Vye resztkami sił wypełził z miejsca osłoniętego skalnym nawisem. Słońce, odbijające się od ściany stoku, smagało ognistym biczem jego wychudzone ciało. Spuchniętym językiem obracał kamień w spragnionych ustach i patrzył zmetniałym wzrokiem w dół zbocza, na kuszającą tafle wody oświetloną słońcem, obrzeżoną lasem, w którym czaiła się śmierć. Co się właściwie stało? Tamtej pierwszej nocy zasnęli pod wyschlą wodospadem. Po całym następnym dniu w jego pamięci pozostało jedynie mgliste wspomnienie. Prawdopodobnie nieprzerwanie szli, choć teraz nic nie pamiętał, z wyjątkiem dziwnego zachowania Hume'a, który miał otepiały wzrok i brnął przed siebie jak bezmózgi robot służebny, również mówił niespójnie i szybko, tak że wszystkie słowa zlewały się z sobą. Samemu Vye'owi bezustannie latały przed oczyma czarne plamy.

Po jakimś czasie doszli do jaskini, w której Hume zwałił się na ziemię i nie wstawał pomimo wszelkich prób ocucenia. Vye nie był w stanie określić, jak długo w niej byli. Bał się, że zostanie sam. Gdyby mieli wodę, to może Hume odzyskałby przytomność, ale cała woda została już wypita.

Wydawało mu się, że czuje zapach jeziora, że lekki wiatr wiejący w górę zbocza niesie ze sobą jej zniewalający powab. Na wypadek, gdyby Hume się ocknął i półprzytomny gdzieś powędrował, Vye powiązał go pasami z koca.

Przejechał palcem po ostrzu noża Hume'a, starannie osadzonym w równo przyciętym drewnianym trzonku. Odkąd pozbył się tego zacmienia umysłu, które wciąż obezwładniało łowcę, robił wszystko, co mógł, by się przygotować na następny atak bestii. Miał także promiennik Hume'a, lecz mógł go wykorzystać tylko w razie nagłej konieczności, ponieważ został już tylko jeden magazynek.

Woda! Poruszył spekanymi wargami, wypluł kamyk. Na szyi miał zawieszony cztery puste bukłaki. Teraz albo nigdy, bo wkrótce będzie tak słaby, że nie uda mu się nic zrobić. Zbiegł do pierwszej kępy krzaków na dole zbocza.

Zaden podejrzany dźwięk nie zakłócił niesamowitej ciszy doliny. Bez przeszkód dotarł do skraju lasu, na nic już nie zwracał uwagi.

Przykucnął za krzakiem i ogarnął wzrokiem rozciągający się przed nim las. Po dłuższym zastanowieniu postanowił, że znowu najlepiej będzie spróbować napowietrznej drogi. Bestia, którą zabił Hume, była zbyt ciężka, by móc się wspinać. Vye nie miał takich problemów.

Starannie zamocowawszy włócznię i promiennik u pasa, Vye wspinał się na najbliższe drzewo. Szansa była niewielka, ale była. Z łomoczącym sercem 'skoczył na osłup w konary następnego drzewa. Potem szczęście mu dopisało, bowiem kolejna korona łączyła się z drugą splecioną pnaczą. Z gałęzi na gałęzi, z trudem brnął w stronę jeziora. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym już drzewa nie rosły, niestety. Wczepiwszy ręce w pnaczą, Vye zawisł, by spojrzeć na wstęgę szarej ziemi - szlak był często używany, o czym świadczyło ubite podłoże.

Ten odcinek trzeba było przejść pieszo... jednak... zostaną ślady. Tylko... nie było innej drogi. Przed wykonaniem skoku sprawdził, czy brzoja ma przymocowaną dostatecznie mocno. W momencie, gdy jego sandały dotknęły zdeptanej ziemi, natychmiast poderwał się do biegu. Otarł sobie ręce do krwi, wspinając się na pień drzewa po przeciwległej stronie. Pnacze skończyły się, ale za to szerokie konary były mocno rozgalezione. Zeskakiwał z jednego na drugi, zatrzymywał się dla zaczerpnięcia oddechu, nasłuchiwał.

W ciemności lasu wdarło się słoneczne światło. To był już zewnętrzny pierścień drzew. By dojsc do wody, musiał znowu zejść na ziemię. Zauważył w wodzie zwalony pień. Uda mu się, jeśli wbiegnie na niego i stamtąd zaczerpnie wody do bukłaka.

Niesamowita cisza. Nic fruującego, żadnych gadów czy innych zwierząt zamieszkujących pnie drzew, żadne wodne stworzenie nie zakłócało powierzchni jeziora. A jednak wyczuwał jakieś życie, wrogie życie, czające się gdzieś w głębi lasu i na dnie jeziora.

Vye zeskoczył na pień martwego drzewa, złapał równowagę, czując jak pień zanurza się pod jego ciężarem. Przykucnął i wyciągnął pierwszy bukłak, przywiązany mocno do pasa sznurkiem koca.

Woda w rzece była brązowa i mętna, tutaj - przezroczysta. Widział wyraźnie pniaki leżące na dnie. I nie tylko!

W głębinach dostrzegł podłużne wybrzuszenie, biegnące tak prosta linia, że nie mógł to być samoistny wytwór natury. Wybrzuszenie łączyło się z następnym pod kątem prostym. Pochylił się i wyteżył wzrok, by ogarnąć nim dalszy ciąg skrytych w ciemnościach

wybrzuszen. Wystajace dalej wypuklosci wylanialy sie z powierzchni jeziora niczym kly z otwartej paszczy. Tam na dole cos bylo - cos powstalego sztucznie, cos, co moglo stanowic odpowiedz na wszystkie ich pytania. Jednak nie mogli zaryzykowac i zanurzyc sie w jeziorze. Gdyby udalo mu sie ocucic Poszukiwacza Sieczek, moze on potrafilby znalezc rozwiazanie tej zagadki.

Vye szybko napelnil buklaki, nie przestajac obserwowac dziwacznej konstrukcji na dnie jeziora. Zauwazyl, ze, o dziwo, nie jest pokryta szlamem, a jej barwa, na ile potrafil to ocenic w ciemnej wodzie, byla jasnoszara, moze nawet biala. Napelnil ostatni buklak.

Nagle na dnie, w zbielalym lesie martwych galezi, na boku jednej z tych tajemniczych scian, cos sie poruszylo. Jakis cien, ukryty wsrod wzniecanego szlamu, toczyl sie naprzod tak szybko, ze Vye nie byl w stanie dostrzec nawet jego ksztaltu. Widzial jednak, ze plynie prosto w strone buklaka.

Za nic w swiecie nie mogli pozwolic sobie na utrate chocby jednej bezcennej kropli. Raz udalo mu sie odbyc te wyprawe bez przeszkod, za drugim razem ryzyko moglo okazac sie wieksze.

Blysk - powoli wynurzajacy sie ksztalt przybral forme swiszczacej, atakujacej wloczni. Vye w ostatniej chwili wyciagnal buklak z wody w miejscu, w ktorym ulamek sekundy pozniej wynurzyl sie przerazajacy, uzbrojony leb, osadzony na skreconej, pokrytej luskami szyi, lomoczac o pien tepo zakonczonym nosem. Rozlegl sie gluchy poglos. Vye przywarl do pnia, a stworzenie gwaltownym rzutem zanurzyl sie w glebinie, pozostawiajac po sobie spieniona wode oraz plame cuchnacej piany i sluzu wokol nasiaklego woda drewna.

Uciekl miedzy drzewa. Tym razem nie slyszal ani ostrzegawczego ryku, ani dudnienia stop. Blyskajaca groznie klami bestia wyrosla jakby spod ziemi, przynajmniej takie wrazenie odniosl smiertelnie przerazony Vye. By dotrzec do drzewa i jego watpliwego bezpieczenstwa, musial wyminac te chimere. Potwor czekal z zimna krwia, az sam wpadnie mu w lapy.

Vye mocniej ujal wlocznie. Dlugosc drzewca stanowila jakas szanse w walce, ale tylko pod warunkiem, ze grot trafi w jakies czule miejsce. Wiedzial jednak, nie od dzisiaj, jak trudno jest zabic taka bestie.

Paszczka rozwarla sie w szerokim, groznym grymasie. Vye zauwazyl ostrzegawcze napiecie miesni ramion. Zwierze najwyrazniej zamierzalo rozszarpac go pazurami. Czekanie oznaczalo igranie ze smiercia. Okrzyk wojenny, jaki wydal z siebie Vye, przeszl cisze panujaca nad jeziorem i w otaczajacym je lesie. Skoczyl z miejsca, celujac czubkiem wloczni prosto w wystajacy brzuch bestii, a potem rzucil sie w bok, wyrwijac bron z cielska, rozdzierajac rane.

Szarpniecie wyrwalo wlocznie z rak Vye'a, gdy porwaly ja szponiaste lapy. Pekla. Nie

czekając, aż potwór go dopadnie, Vye ściał go krotką, seria z promiennika. Gdy zapłonęła sierść, pobiegł w stronę drzewa.

Schowany pod zwisającymi konarami, obejrzał się za siebie. Biedna bestia usiłowała zgasić płonące futro na głowie, daremnie tłukła łapami w swój ohydny łeb; miał jakieś dwie sekundy czasu. Podskoczył i uchwycił się galezi, a potem nadludzkim wysiłkiem umknął spoza zasięgu stworzenia, które rzuciło się na osłep w jego kierunku, skrzeczając jak oszalałe z bólu.

Ogromne cielsko zderzyło się z pniem, wywołując wstrząs, który omal nie zrzucił Vye'a na ziemię. Kiedy ogromne przednie łapy zabębniły o drzewo, starając się sciągnąć go na dół, Vye spokojnie wdrapał się na wyższą gałąź. W końcu rozkolysany konar przeniósł go na następne drzewo. A stamtąd czekała go już tylko spokojna wędrowka na skraj lasu.

Sadząc po hałasie, bestia wciąż atakowała drzewo. Vye nie mógł się nadziwić jej witalności, ponieważ taka rana brzucha usmierciłaby każde znane mu zwierzę. Nie wiedział, czy mimo wszystko nie ruszy jego śladem po drzewach, a poza tym jej ryk mógł przyciągnąć inne podobne stworzenia. Liczyła się każda sekunda.

Przy wyrwie nad szlakiem zawahał się. Ścieżka prowadziła prosto na otwartą przestrzeń - biegnąc poruszałby się szybciej. Zeslizgnął się więc z galezi, zeskoczył na ziemię i pobiegł. Był zmęczony, wątpił czy starczyłoby mu sił na przedzieranie się przez lesne poszycie. Wybrał ścieżkę.

Jekliwe okrzyki bestii były coraz głośniejsze. Już słyszał za sobą łomot niezdatnych kroków scigającego go zwierzęcia, ale ono też było słabe, ciężkie i poranione. Na otwartej przestrzeni skryje się za jakąś skalą i znowu wygarnie z promiennika.

Las zaczął rzednieć. Dobywając resztek sił zwiększył prędkość; ściana cieniściego lasu wyrzuciła go niczym strzałką z pistoletu. Przed nim, na zboczu, znajdowało się zamknięte wyjście z doliny. Z lewej strony, uśmiechając się potwornym grymasem, nadbiegła jeszcze jedna niebieska bestia.

Droga między drzewa była zamknięta. Jednakże kolejny potwór poruszał się z tą samą ociezłą pewnością siebie, jaką wykazał wcześniej jego kolega. Vye uskoczył w bok, wszedł w wyrwę między skalami. Kiedy wskakiwał za ten tymczasowy wał obronny, z rosnącego nżej lasu wywlokła się ranna bestia. Zachowywała się, jakby oslepla, i Vye zrozumiał, że tylko jakiś instynkt pozwala jej iść jego tropem.

Trzesąc się ze zmęczenia, Vye wsparł przedramię o skalę i ułożył na nim lufę promiennika. W odległości niecałych dwóch jardów od tego miejsca znajdował się zwodniczy otwór. Może gdyby teraz rzucił się. Węń - elastyczna, niewidoczna zasłona nie odrzuciłaby go z powrotem prosto w szpony wroga?

Wypalił w łeb temu drogiemu. Bestia zaskrzeczała, wyrzuciła łapy w górę. a jedna z nich

trafila rannego towarzysza. Tamten krzyknął, rzucił się na nią i rozpetał się gwałtowny akt, straszliwy w swej zapalczywości. Vye posuwał się wzdłuż klifu, zdeterminowany dotrzeć do jaskini i Hume'a. Dwa niebieskie stwory natomiast wyraźnie zamierzały wykonać się nawzajem.

Ten z lasu padł pierwszy, ostre kły rozdarły mu gardło. Zwycięzca rozerwał ciało zabitego, a kiedy już było po wszystkim, podniósł osmalony łeb i spojrzał na Vye'a. Ten w jakiś sposób domyślał się, że bestia wyczuwa jego ruchy, nawet nie mając oczu.

Nie był jednak przygotowany na tak błyskawiczny atak. Dotychczas stworzenia zdawały się dysponować jedynie brutalną siłą, a nie zwinnością. I omal nie dał się oszukać. Uskoczył, wiedząc, że za wszelką cenę musi uniknąć bezpośredniego starcia; słabeusz nie miał szans w walce wręcz z obcym.

Nastąpił moment oszłomienia i zametu. Vye miał dziwaczne wrażenie spadania przez rozedrganą przestrzeń, w której nigdy nie było i nigdy nie będzie oparcia dla stop. Staczał się ze skały - poza zasłone w wyrwie.

Usiadł, mdliło go przez ten dryf w bezkresnej nicości. Widział jak przez mgłę zatrzymująca się niebieska bestia. Stworzenie zawróciło skowycząc, lecz zanim doszło do lasu, zwałilo się na kolana, a potem upadło na ziemię i znieruchomiało - kiedyś niszczycielska maszyna, teraz oklapły żagiel, pozbawiony życiodajnego wiatru.

Vye usiłował zrozumieć, co się stało. Przebił się przez barierę, rozbił kraty więzienia w dolinie. Wolność! Potem spojrzał z lekkiem na drogę wiodącą ku otwartej przestrzeni, spodziewając się, że zobaczy gromadę kul albo tamte, tylko nieco mniej przerażające bestie z nizin, które udawały pasterzy. Nic na szczęście nie zobaczył.

Wolność! Z wysiłkiem podniósł się na nogi. Może iść! Promiennik Hume'a wysunął za pas. A Hume został w dolinie!

Vye przetarł twarz drżącymi dłońmi. Przeszedł przez barierę i jest wolny, ale ciągle przecież tam jest Hume, bezbronny wobec tropiących go bestii. Chory, bez wody i ochrony, jest martwy, mimo że wciąż oddycha.

Przytrzymując się jedną ręką skalnej ściany, Vye zaczął iść, nie w stronę dalekich nizin, lecz z powrotem w dolinę. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało wysiłku woli. Czuł, jak w jego wnętrzu rozlega się donośny krzyk protestu przeciwko czemuś, co wyglądało na zwyczajne samobójstwo. Kiedy dotarł do dwóch punktów w skale, między którymi rozposcierała się za sobą, na próbie wyciągnął rękę. Nie poczuł oporu - bariera zniknęła! Musi wrócić po Hume'a.

Nadal przytrzymując się ściany, Vye przemknął przez skalne wrota i ponownie znalazł się w dolinie. Stał niezdecydowany i nasłuchiwał. Tak jak przedtem, wszędzie panowała cisza, nawet wiatr nie poruszał drzewami czy zarosłami. Ostrożnie stawiając stopę za

stopa, ruszył w stronę jaskini, w której leżał Hume. Mgła, która nie pozwalała mu myśleć jasno od samego rana, ustąpiła. Mimo fizycznego osłabienia, czuł się na powrót żywy i czujny.

W wejściu do jaskini leżał łowca. Udalo mu się rozerwać więzy, którymi Vye unieruchomił jego nogi, ale nadal miał spętane ręce. Jego twarz, brudna i spocona, była zwrócona ku słońcu, a w oczach na nowo lśniły iskierek rozumu.

Ostatnie kilka stop, które ich dzieliły, Vye przebiegł jak na skrzydłach. Niezdarnie rozplatywał więzy na rękach Hume'a, jednocześnie wylewając z siebie potoki informacji. Bariera zniknęła - mogą iść.

Następnie wyciągnął jeden z bezcennych bukłaków, przyłożył go do spragnionych ust Hume'a i wlał kilka łyków w popękane i zakrwawione usta.

Jakos udało im się dojść do wrot doliny. Kiedy zobaczyli cel swojej wędrowki, Hume wyrwał się z objęć Vye'a i pobiegł na chwiejnych nogach do przodu. Okrzyki, które wydawał, nieledwie przypominały łkanie. Co z tego, skoro odbił się jednak, osunął na ziemię i rozłożył jak długi. Szlochając bezgłośnie, obrócił wyndźniała twarz ku niebu i zamknął oczy. Pułapka znowu była zamknięta.

-Dlaczego? Dlaczego? - Vye powtarzał te słowa bez końca, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w lasy otaczające jezioro.

-Powtórz raz jeszcze, co się wydarzyło.

Hume podciągnął się i wsparł ramionami o skalną ścianę. Wyciągnął przed siebie plastalid i przesunął nią po czymś, co wyglądało jak pusta przestrzeń, ale stanowiło barierę odgradzającą ich od wolności. W jego oczach jarzył się chłodny spokój i jakaś bezwzględność.

Powoli, zastanawiając się nad doborem słów, Vye złożył pełne sprawozdanie ze swojego pobytu nad jeziorem, ucieczki przed bestiami, szczęśliwego upadku u wejścia do doliny.

-Ale wróciles.

Vye zaczerwienił się. Nie miał zamiaru tego wyjaśnić. Zamiast tego powiedział:

-Skoro raz już zniknęła, może to zrobić w każdej chwili.

Hume nie podtrzymywał kłopotliwego tematu. Wolął rozmawiać o starciu z ranną bestią. Vye musiał trzykrotnie powtarzać tę opowieść.

-To tyle - odparł Hume, kiedy już wszystko usłyszał.

-Kiedy spadales, nie myslales juz o barierze, mimo ze twój rozum pracowal. Wyszedles z tego oglupienia, ktore nam zafundowali.

Vye pomyslal chwile i stwierdzil, ze lowca musi miec racje. Usilowal uniknac ataku bestii i w tym momencie myslal jedynie o swym strachu i rozpaczliwej koniecznosci. Ale co to wszystko w takim razie oznaczalo?

Chcac sprawdzic to, czego nie wie, podpelzil do boku Hume'a, oparl dlon w miejscu, gdzie reka z plasta-ciala gladzila nicosc. Omal nie upadl na twarz, po drugiej stronie otworu. Tam, gdzie sie spodziewal napotkac opor niewidzialnej kurtyny, nie bylo zupełnie nic! Odwrocil sie do Hume'a z mina czlowieka, ktorego ogloszono niespodziewanym ciosem.

11

-Dla ciebie jest otwarta!Hume pierwszy przerwal milczenie. Z jego oczu osadzonych w koscistej twarzy wyzieral smutek.

Vye wstal, zrobil jeden krok i znalazl sie po drugiej strony kurtyny, w miejscu, gdzie dlon Hume'a wciaz nie mogla przebic sie przez twarda powierzchnie. Zawrocil, zupełnie bez klopotu. Tak, dla niego bariera przestala istniec. Ale dlaczego wyroznila jego, podczas gdy Hume wciaz byl wiezniem?

Lowca podniosl glowe, spojrzal na Vye'a wzrokiem, w ktorym kryl sie rozkaz.

-Idz, odejdz stad, poki jeszcze mozesz!

Vye usiadl ciezko obok niego.

-Dlaczego? - spytal bez ogrodek.

I wtedy padla najbardziej oczywista ze wszystkich odpowiedzi.

Zerknal na Hume'a. Lowca wsparl glowe o skale, mial zamkniete oczy. Wygladal jak czlowiek doprowadzony na skraj wyczerpania, czlowiek, ktory ma ochote puscic uchwyt i skoczyc w przepasc.

Vye zdecydowanym ruchem ujal jego prawa reke, zacisnal palce w piesc. I rownie zdecydowanie uderzyl nia prosto w bezbronny podbrodek. Hume zwiotczal i zsunalby sie z powierzchni skaly, gdyby Vye nie chwycil go pod pachami.

Poniewaz brakowalo mu sil, zeby uniesc taki ciezar, zaczal pelznac, wlokac za soba znieruchomiale cialo lowcy. I tak jak liczyl, tym razem rowniez nie napotkal oporu w przejsci. Pozbawiony przytomnosci Hume mogl przekroczyc barriere. Vye ulozyl go na ziemi najwygodniej jak potrafil i oblal mu woda twarz. Hume jeknal, cos wymamrotal i podniosl slabe dlonie do twarzy.

Szare oczy otworzyły się i spojrzały na Vye'a.

-Co...

-Obydwaj przeszliśmy, obydwaj! - Chłopak patrzył na lowce; w oczach tamtego błyszczała nadzieja.

-Ale jak...?

-Znokautowałem cie, ot co - odparł Vye.

-Znokautowałeś mnie? Przeszedłem, bo byłem nieprzytomny! - Głos Hume'a uspokoił się, nabrał siły. - Daj mi to sprawdzić! Obrócił się na bok, wyciągnął rękę i tym razem jego palce nie napotkały ściany. Bariera zniknęła również dla niego.

-Jak już raz przejdziesz, to jesteś wolny - dodał z niedowierzaniem. - Może nie przewidzieli, że ktoś może stąd uciec.

Podciągnął się z trudem i usiadł, zwieszając luzno dłonie. Vye obrócił głowę i spojrzał na ciągnący się przed nimi szlak. Nowy problem stanowiło pokonanie odległości dzielącej ich od obozu safari. Żaden z nich nie był w stanie przebyć tej drogi pieszo.

-Wyszliśmy, ale jeszcze nie doszliśmy.

Słowa Hume'a zabrzmiały niczym echo jego myśli.

-Zastanawiałem się, czy drzwi są otwarte... - zaczął Vye.

-Kopter! - Hume wpadł chyba na ten sam pomysł. - Tak, jeśli kule nie czają się gdzieś tam na wypadek, gdybyśmy spróbowali.

-Może ich zadanie polegało na tym, by nas tutaj tylko doprowadzić, a nie pilnować. To mogły być poboczne życzenia, niemniej jednak trzeba było to sprawdzić. Nie istniało inne wyjście z matni.

-Podaj mi rękę. - Hume wyciągnął swoją i pozwolił, by Vye podniósł go z ziemi. Pomimo osłabienia, patrzył przytomnym wzrokiem i najwyraźniej znowu myślał logicznie. - Chodźmy!

Przeszli z powrotem przez otwór, potem jeszcze raz, aby się upewnić, że bariery naprawdę już nie ma. Hume rozesmiał się.

-Przynajmniej frontowe drzwi nadal są otwarte, nawet jeśli tylne okazały się zamknięte.

Vye zostawił go przy wejściu, a sam poszedł szybko do jaskini, by przynieść plecak z zapasami. Kiedy wrócił, szybko wepchnęli tabletki do ust, popili wodą z jeziora i stymulowani świeżą energią ruszyli drogą biegnącą wzdłuż ściany zbocza.

-Ten murek w jeziorze - odezwał się nagle Hume - jesteś pewien, że jest sztuczny?

-Biegnie zbyt prosto, a występy na nim są osadzone regularnie. Nie wiem, jakim cudem mogłoby być naturalny.

-Trzeba to będzie sprawdzić.

Vye przypomniał sobie stworzenie, które zaatakowało go z wody.

-Tam nie można nurkować - zaprotestował.

Hume uśmiechnął się, skóra jego twarzy ciasno opinała szczękę.

-My nie, przynajmniej nie teraz - zgodził się. - Ale Gildia przysła następnych zwiadowców.

-Jaki może być powód tego wszystkiego? - Vye pomógł swemu towarzyszowi przejść przez luźny gruz leżący na zboczu.

-Informacja.

-Co?

-Ktoś, lub coś, przejął nasze mózgi, kiedy straciliśmy przytomność umysłu. Albo... - Hume zatrzymał się nagle, spojrzał prosto na Vye'a. - Ty sobie chyba tu dajesz radę znacznie lepiej niż ja. Nie wydaje ci się?

-Częściowo - przyznał Vye.

-To się sprawdza. Poniekąd wiedziałem, co się dzieje, ale byłem bezradny, kiedy to coś - jego uśmiech zupełnie zniknął, a w głosie pojawił się chłód - porwał mój mózg i wzięło z niego to, co chciało.

Vye pokręcił głową.

-Nie czułem czegoś takiego. Tylko ciężar w głowie, jakbym był pogrążony we śnie i jednocześnie nie spał.

-Więc to coś przejęło kontrolę nade mną, ale nie do końca nad tobą. Dlaczego? Kolejne pytanie na naszej liście.

-Może, może technicy Wassa tak to urządzili, żeby nie można mi było porwać mózgu, jak to nazywasz - podsunął Vye.

Hume skinął głową.

-Mogło tak być, całkiem prawdopodobne. Idziemy.

Przyspieszył teraz kroku.

Vye odwrócił się, by czujnie spojrzeć w dół zbocza. Czyżby Hume odebrał kolejne ostrzeżenie o zagrożeniu z lasu? Nie widział tam żadnego ruchu. A z tej odległości jezioro wyglądało jak topazowa plachta spokoju, pod którą mogło kryć się wszystko. Hume wyprzedził go już o kilka kroków, prac tak szybko, jakby znówu deptali im po piętach potwory z doliny.

-Co się stało? - spytał Vye, dogoniwszy go.

-Zapada noc. - Co było prawdą. Potem Hume dodał:

-Jeżeli uda nam się dotrzeć do koptera przed zachodem słońca, wówczas damy radę przelecieć nad tym jeziorem i sfilmować je jeszcze dzisiaj.

Energia uzyskana z tabletek wzmocniła ich, więc zanim dotarli do wejścia w rozpadlinie, poruszali się niemalże z dawną żywotnością. Przez sekundy Hume zawahał się przed szczeliną, prawie tak, jakby bał się testu, który i tak musiał przejść. Potem zrobił krok do przodu i... znówu się udało.

Dotarli do skalnego występu, na którym spoczywał kopter, dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawili. Nie dawało się określić, od jak dawna tu byli, musiały jednak minąć od tamtego czasu całe dni okryte mgłą. Vye zbadal wzrokiem niebo. Nie mrugały tam żadne kule - był tylko samotny biały kopter.

Zajął swoje dawne miejsce za siedzeniem pilota, patrzył, jak Hume sprawdza przyciski sterowania z wprawą człowieka, który wiele razy wcześniej wykonywał tę rutynową czynność. Skonczył i cicho odetchnął z ulgą.

-W porządku, możemy startować.

Jak na komendę obydwaj spojrzeli w górę, bojąc się, że zobaczą tam złośliwych pasterzy, którzy znówu uniemożliwią im lot. Jednakże na pogodnym niebie nie było nawet chmurki. Hume nacisnął jakiś guzik i wzniesli się pionowo równym lotem, zupełnie innym niż ten skok, którym wyprysnęli z obozu Wassas.

Kopter zawisł w powietrzu wysoko ponad klifem. Mogli stamtąd ogarnąć wzrokiem okrągłą misę ich więzienia. Hume dotknął przycisków kontrolnych i kopter opuścił się powoli tuż nad środkiem jeziora. Uderzyła ich osobliwość tego zbiornika wody, jego idealnie owalny kształt, zbyt doskonały, by mógł być zwykłym wytworem natury. Hume wyjął okrągły dysk zza pasa, włożył go starannie do szczeliny w tablicy rozdzielczej i przycisnął znajdujący się niżej guzik. Kopter ruszył zygzakowatym lotem tuż nad powierzchnią wody, fotografując każdy skrawek jej powierzchni.

Z góry mogli bez przeszkód obserwować całe dno tajemniczej formacji tektonicznej. Mur

skrecajacy pod katem dziewiecdziesieciu stopni, ktory Vye zauwazyl z brzegu, stanowil jedynie czesc zatopionej konstrukcji. Z lotu ptaka widac bylo, ze jest to szescioramienna gwiazda wpisana w owal. W jego srodku zas znajdowala sie plama, ktorej ksztaltu nie potrafili zidentyfikowac.

Hume zatoczyl kopterem ostatni krag. - To tyle. Wszystko sfilmowalismy.

-Jak myslisz, co to jest?

-Urządzenie zbudowane tutaj przez jakies inteligentne istoty i to dawno temu. Tej alei nie zbudowano w ciagu jednej nocy ani w ciagu szesciu miesiecy, ani nawet roku. Eksperci beda nam musieli powiedziec, kiedy to wykonano i po co. A teraz lecimy do domu!

Wzбил sie na wyzszy pulap i polecili ponad sciana doliny na poludniowy zachod, mijajac po drodze otwor, ktory stanowil glowne wejście do zasadzki. Poslugujac sie przekaznikiem, Hume usilowal odnalezc sygnal kierunkowy.

-To dziwne. - Na tablicy kontrolnej Hume manipulowal strzalka wykrywacza, przesuwasjac ja to w prawo, to lewo, ale w mikrofonie nie bylo slychac charakterystycznego szczeko kodu. - Byc moze jestesmy zbyt daleko w gorach, by zlapac promien. Ciekawe... - Przesunal wskaznik w druga strone, odrobine w lewo.

Nareszcie - w mikrofonie rozlegl sie trzask. Vye nie potrafil odczytac kodu, ale sila tego dzwieku sugerowala panike, a nawet smiertelny strach.

-Co to jest?

Hume przemowil, nie odrywajac wzroku od tablicy rozdzielczej.

-Alarm.

-Z obozu safari?

-Nie. To Wass.

Przez dluzsza chwile Hume nic nie mowil, jego palce na przyciskach znieruchomialy. Kopter lecial automatycznym kursem, uwozac ich z gor, daleko od zlowieszczej doliny.

Hume przekrecil lekko tarcze i kopter zrobil zwrot, wchodzac na inny kurs. Raz jeszcze posluzyl sie wykrywaczem. Tym razem odpowiedziala mu seria jednostajnych szczekniec, w ktorych nie slychac bylo alarmu tamtego sygnalu. Hume wsluchiwal sie tak dlugo, dopoki kod nie umilk.

-W obozie safari nic sie nie dzieje.

-Ale Wass ma klopoty. Jakie moze to miec dla nas znaczenie? - dopytywal sie Vye.

-Takie - Hume mowil bardzo wolno, jakby musial przekonywac nie tylko Vye'a, lecz rowniez samego siebie -ze ja jestem czlowiekiem Gildii na Jumali, a czlowiek Gildii jest odpowiedzialny za wszystkich ludzi.

-Nie mozesz go nazywac swoim klientem!

Hume pokrecil glowa.

-Nie, on nie jest klientem. Ale jest czlowiekiem.

Sprowadzalo sie to do tego, ze wszyscy ludzie na swiatach pogranicza musieli trzymac sie razem. Vye pragnal temu zaprzeczyc, ale pokonalo go wlasne sumienie, a takze tradycja wielu stuleci. Wass byl VIP-em, jednym z przestepczych pasozytow zerujacych na ludzkim nieszczęściu na niejednym slonecznym szlaku, lecz byl tez czlowiekiem i mial swoje prawa.

Vye przypatrywal sie, jak Hume ujmuje stery, i czul, ze kopter reaguje na kolejna zmiane kursu. Chwile pozniej uslyszal dramatyczne szczekanie alarmowego wezwania, gdy skierowali sie do ukrytego obozu.

-Automatyczny. - Hume wylaczyl glosnik odbiornika, szczeki w mikrofonie zamilkly. - Ustaw na maksimum i tak zostaw.

-Otoczyli oboz bariera silowa, ponadto wiedzieli o kulach i obserwatorach. - Vye usilowal sobie wyobrazic, co moglo stac sie na lesnej polanie.

-Bariera mogla nie wytrzymac, a bez koptera nie mieli jak uciec.

-Mogli odleciec statkiem.

-Wass ma opinie czlowieka, ktory nigdy nie rezygnuje z zadnego przedsiwzięcia.

Vye przypomnial sobie.

-No tak, wasza umowa o miliard kredytek.

Ku jego zdziwieniu Hume rozesmial sie.

-To wszystko wydaje sie bardzo teraz odlegle, jak kometa na trajektorii ucieczki, nieprawdaz, Lansor? Tak, mielismy umowe o miliard kredytek, ale kiedy ja zawieralismy, nie wiedzielimy, ze przy stole siedzi wiecej graczy. Zastanawiam sie...

Nie powiedzial jednak, nad czym sie zastanawia, a chwile pozniej rzucil przez ramie:

-Lepiej odpocznij, chlopcze. Mamy troche czasu przed ladowaniem.

I Vye rzeczywiscie zasnal, gleboko, bez snow. A kiedy obudzilo go delikatne szarpniecie,

zobaczył przed sobą na niebie świetlista smuga, rozcinająca nieprzenikniony nocny mrok.

-To ostrzeżenie - wyjaśnił Hume. - Nie mogę przechwycić żadnej odpowiedzi z obozu, z wyjątkiem tego wołania o ratunek. Jeśli teraz tam ktoś jest, to albo nie może, albo nie chce odpowiedzieć.

Na tle jarzacej się luny widzieli sterczący w niebo stożek statku. Pilot automatyczny posadził ich tuż obok, pośrodku pola rzesziste oświetlonego atomową lampą, stojącą na trójnogu tak samo, jak tamtej nocy, gdy uciekli z tego obozu.

Całkowicie zesztywniali wysiedli z ciasnego koptera i podeszli ostrożnie do statku. Po kilku minutach Hume schował promiennik.

-Jeśli nie schowali się w środku, a nie widzę powodu, dla którego mieliby to zrobić, to nie ma tu nikogo. Nie zabrali z sobą żadnego sprzętu, z wyjątkiem kilku przedmiotów, które mogli przenieść na własnym grzbiecie.

Wnętrze statku okazało się równie wyludnione jak całe obozowisko. Siedzenie przy ścianie wyciągnięto zbyt pośpiesznie, więc było przekrzywione, stan kabiny przekaznikowej wskazywał, że odejście załogi, nie wiadomo kiedy i dlaczego, było spowodowane jakimś niebezpieczeństwem. Hume nie wyłączył automatu, więc nadal radiostacja nadawała wołanie o pomoc.

-Co teraz? - spytał Vye, kiedy skończyli poszukiwania.

-Najpierw oboz safari i kontakt z Patrolem.

-Zastanów się. - Vye postawił przed sobą pojemnik z racjami i opróżnił go z zadowoleniem człowieka, który od dawna żywił się tabletkami. - Jeśli wezwiesz Patrol, to będziesz musiał mówić prawdę?

Hume załadował promiennik świeżym magazynkiem.

-Patrol musi otrzymać pełen raport. Nie ma sposobu, aby to ominąć. Tak, będziemy musieli wszystko opowiedzieć. Nie masz się czym przejmować. - Zamknął z trzaskiem komorę.

-Wytłumaczę cię. Jesteś ofiarą, pamiętaj.

-Nie o tym myślałem.

-O rany! - Hume podrzucił promiennik w górę i złapał go plastą-dlonią. - Wszedłem w ten układ z szeroko otwartymi oczyma. Teraz nie ma znaczenia, dlaczego. Prawdę powiedziawszy - zapatrzył się ponad głową Vye'a na opustoszały, oświetlony oboz - zacząłem się zastanawiać nad wieloma rzeczami... może zbyt późno. Nie, wezwiemy Patrol

i to nie dlatego, że tu jest Wass i jego ludzie, ale dlatego, że my jesteśmy ludźmi i oni są ludźmi, a tu jest jakaś ohydna pułapka, która właśnie wciągnęła innych ludzi w swe paskudne trzewia. Szkielet w dolinie! Jakże blisko oni sami byli od podpisania wieczystej umowy na najem kwatery sąsiadujących z lokum tego nieszczęsnika.

-Teraz wrócimy do obozu safari. Przesłaliśmy wiadomość Patrolowi, potem postaramy się odnaleźć Wassę i zobaczymy, co da się zrobić. Jumala znajduje się poza regularnymi szlakami. Patrol nie doleci tu przed wschodem słońca, niezależnie od tego, jak cudownie byśmy cwierkali, chcąc go tu zwabić.

Vye milcząc wsiadł ponownie do koptera. Tak jak przewidział Hume, wydarzenia przybrały szybki obrot. Jeszcze jakiś czas temu pragnął rozliczyć się z Poszukiwaczem Ścieżek, domagać się od niego nie tylko wytłumaczenia swego pobytu na planecie, lecz uzyskać satysfakcję za upokorzenia służby cudzym celom. Teraz pragnął pokonać Wassę, sprowadzić Patrol, dowiedzieć się, co kryje dno jeziora, sprawić, by Hume nie trafił za kratki. Nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego tak myśli.

Podczas startu z porzuconego obozu Wassę obydwaj milczeli. Gdy kopter leciał, ślizgając się nad ciemną plamą obcego lasu, niebo rozbłyskiwało pierwszymi gwiazdami. Kule nie pojawiły się. Od czasu, gdy wyszli z doliny, nie spotkali żadnych śladów działalności obcych.

Jednakże świetlne punkty były tam, choć nie atakowały koptera, ani też nie ustawiły się wzdłuż linii jego lotu. Kiedy o brzasku kopter wyleciał z lasów i skierował się w stronę obozu safari, przed jego dziobem majaczyła jaskrawa luna. Korona światel otaczała obozowisko. Ci na dole byli oblezeni!

Hume leciał prosto na obcych. Tym razem rozkolysany krąg rozerwał się, rozstępując na boki. Vye spojrział w dół. Pomimo szarości poranka nie mógł przeoczyć zgarbionych kształtów porostawianych w równych odstępach po całym terenie, tuż za niewidzialną linią bariery siłowej. Oboz safari był dobrze strzeżony - od góry przez światła, w dole przez ohydne bestie.

12

-Moga podać tylko jedną drogę, w stronę gór. - Hume stał na otwartej przestrzeni wśród namiotów, w otoczeniu czterech towarzyszy z obozu. - Mówicie, że minęło siedem dni czasu planetarnego, odkąd zniknąłem. Oni mogli więc wyruszyć całe pięć dni temu. Jeśli to możliwe, musimy ich zatrzymać, zanim dotrą do doliny.-Fantastyczna opowieść. - Chambriss miał obrażoną minę, jak człowiek, któremu ktoś śmiało zbrukac duszę buciorami cudzych zmarłych. Po chwili, spotykając wzrok Hume'a, dodał pojednawczym tonem: - Co nie znaczy, że ci nie wierzymy, lowco. Te tepe stworzy, czekające poza granicami obozu, stanowią wystarczający dowód prawdziwości twych słów. Jednakże, jak sam dałeś do zrozumienia, Wassę jest wyjetym spod prawa VIP-em, który przybył potajemnie na tę planetę w celu realizacji swych niecznych celów. Z pewnością nie mamy powodu, by dla

niego ryzykować własne życie. Czy jesteś pewien, że jemu istotnie coś grozi? Przecież jak sam mówiłeś, udało wam się razem uciec z pułapki.

-Był to splot szczęśliwych wypadków, który może już nigdy się nie powtórzyć - tłumaczył Hume z anielską niemalże cierpliwością.

Zaden z pograżonych w dyskusji nie zauważył, że z twarzy Rovalda zniknął wyraz podejrzanego zamyslenia, w którym tkwił od dobrych kilku minut. Człowiek Wassa zupełnie nagle zdjął z ramienia promiennik i wyceLOWał go w taki sposób, jakby miał zamiar skosić ich wszystkich jedną długą serią.

-No dobra, teraz kończ już z tą gadaniną. Idziesz szukać VIP-a!

-Zrobię to, tylko najpierw wezwę Patrol. Rovald mierzył prosto w piers Hume'a.

-Ani mi się waz! - rozkazał.

-Dostę już tego! - Z zaskoczeniem usłyszeli władczy głos Yactisiego. Gdy spojrzeli w jego stronę, okazało się, że zdążył już nawet przystąpić do działania.

Rovald krzyknął coś głośno, a bron wypadła z jego gwałtownie czerwieniejących palców. Yactisi skłaniał głową z zadowoleniem i wyciągnął swój elektryczny harpun, przygotowany do następnego strzału. Vye pochylił się i zatrzymał stopa toczący się po ziemi promiennik.

-Najpierw zawiadomę Patrol, potem postaram się odnaleźć Wassę - oświadczył Hume.

-Sensowna kolejność - pochwalił Yactisi swym cierpkim głosem. - Czy sądzisz, że dasz sobie radę z siłami, którymi wysługują się obcy?

-Tak mi się zdaje.

-To w takim razie musisz spełnić swą misję.

-Dlaczego? - Chambriss sprzeciwił się po raz kolejny.

-A jeżeli mu się nie powiedzie i znowu go schwytają? Jest naszym pilotem, chcesz, żebyśmy zostali na tej planecie na zawsze?

-Ten człowiek także jest pilotem. - Starns wskazał Rovalda, który rozcierał obolałą dłoń.

-Przecież to kryminalista, któremu nie można ufać! - wypalił Chambriss. - Lowco, zadam, żebyś nas natychmiast zabrał z tej planety! I będę tak wspaniałomyślny, że z góry poinformuję cię o zamiarze wystąpienia z oskarżeniem przeciwko tobie i Gildii. Nie zamieszkań świat! Duzo jeszcze takich znacie?

-Ależ szlachetny panie - głos Starnsa nie zdradzał żadnych emocji, a tylko żywa

ciekawosc - pobyt tutaj w tej chwili jest przywilejem, na jaki nie mogliśmy liczyć nawet w najsmielszych marzeniach! Przekazy satelitarne pełne będą naszych opowieści.

Co to ma wspólnego ze sprawą - zastanawiał się Vye. Widział jednak, że replika Starnsa spowodowała błyskawiczną zmianę nastawienia Chambrissa.

-Przekazy satelitarne... - powtórzył, a jego gniew ewidentnie uległ rozproszeniu. - No tak, rzeczywiście, to historyczna chwila. Jesteśmy w wyjątkowej sytuacji!

Czy Yactisi się uśmiechnął? Zmiana w linii tych bladych warg była tak nieznaczna, że Vye nie mógł jej nazwać uśmiechem. Starns wyraźnie znalazł właściwą metodę postępowania z Chambrissem, a na dodatek wyraźnie miał ochotę okazać się pomocny w znacznie ważniejszej dla nich sprawie, bo powiedział niesmiało do Hume'a:

-Mam nieco doświadczenia w posługiwaniu się przekaznikami, lowco. Czy zyczysz sobie, bym przesłał twoją wiadomość i przejął kontrolę nad urządzeniem do czasu twego powrotu? Zdaje mi się - dodał skromnie - że bezsensowne byłoby obciążanie tym zajęciem twojego pomocnika.

Tak więc Starns zasiadł w kabinie przekaznikowej statku i zabrał się do nawiązywania kontaktu z Patrolem, natomiast Rovald, zamknięty w pomieszczeniu magazynowym, miał czekać na przybycie władz. Gdy Hume gromadził już sprzęt, a Vye pakował go do stojącego w pogotowiu koptera, podszedł do nich Yactisi.

-Czy opracowałeś plan poszukiwań? - zwrócił się do Hume'a.

-Polecimy na północ od ich obozowiska. Jeżeli doszli już do gór, wówczas postaramy się odnaleźć ich podczas wspinaczki na zbocza. Jeżeli tam ich nie będzie, polecimy do doliny i tam na nich zaczekamy.

-Czy sądzisz, że oni też zostaną schwytani i poddani... przetworzeniu?

Hume pokręcił głową.

-Nie wierzę, że my bylibyśmy wolni, szlachetny panie, gdyby nie seria szczęśliwych wypadków.

-Tak, ale nie podajesz nam zbyt wielu szczegółów, lowco.

Hume odłożył pistolet strzałkowy, który właśnie ładował, i spojrzał uważnie na Yactisi.

-Kim jesteś? - spytał spokojnym głosem, w którym czaiła się ostra nuta.

Vye po raz pierwszy zobaczył szczerzy uśmiech na twarzy wysokiego, szczupłego klienta Gildii.

-Człowiekiem mającym udział w licznych interesach, lowco. Proponuje jednak nie poruszać na razie tego tematu. Zapewniam cie, że moje związki z Wassem nie są takie, jakimi mogą ci się wydawać.

Dwie pary oczu, jedno szare, drugie brązowe, mierzyły się nawzajem przez chwilę. Przemówił Hume:

-Wierze ci. I pamiętaj, że wszystko to, co powiedziałem, jest prawda.

-Nigdy w to nie wątpiłem, chodzi mi tylko o dokładniejsze dane. Liczę, że porozmawiamy po waszym powrocie.

-I mnie do tego pilno.

Hume schował pistolet do koptera. Yactisi jeszcze raz się uśmiechnął, tym razem również do Vye'a, jakby go chciał zapewnić o swych czystych intencjach, i odszedł.

Hume nie komentował rozmowy.

-Zalatywione - powiedział do swego towarzysza. - Nadal chcesz lecieć?

-Jeśli się zgadzasz. Zresztą sam sobie nie poradzisz. Żaden człowiek nie mógłby w pojedynkę zmierzyć się z doliną, Wassem i jego ludźmi.

Hume nie odpowiedział. Po powrocie do obozu chwilę odpoczywali. Vye dostał ubranie Hume'a i wyglądał teraz jak lowca Gildii. Uzbroił się też w pas Rovalda, jego pistolet strzałkowy i promiennik. Wyruszyli na swoją ryzykowną eskapadę wyposażeni we wszelkie środki obronne, jakie były w obozie.

Dopiero po południu kopter ponownie wzbił się w górę, rozpedzając krzaczki w jednym miejscu kule. W szeregach niebieskich obserwatorów nie zaszły żadne zmiany. Dalej nie było wiadomo, na co czekają - na wyłączenie bariery siłowej? Na to, że ktoś z obozu odważy się wyjść poza tę niewidzialną przeszkodę?

-Wyjątkowo głupie stworzenia - stwierdził Vye.

-Nie są głupie, tylko zaprogramowane na określony typ działania - odparł Hume.

-Co z kolei oznacza, że to, co je tu przysyła, nie potrafi zmienić własnych rozkazów.

-Chyba masz rację. Twierdziłbym, że rządzi nimi coś pokrewnego do naszych nagrywanych dyrektyw. Żadnego zastrzeżenia na wypadek konieczności wprowadzenia zmian.

-Czyli że kierujące nimi, wyposażone w inteligencję siły mogły zniknąć stąd dawno temu.

-Podzielam twoje zdanie. Jak to sie stalo, ze trafiles do "Roju Gwiazd"? - zmienil nagle temat Hume.

Vye Lansor, ktory kiedys byl zwyklym poslugaczem w najgorszej spelunce portowej, stwierdzil, ze jest mu bardzo trudno wrocic myslami na Nahuatl; czul sie obecnie, jak ktos zupełnie inny. Odpowiedz odnalazl w wyjatkowo zagmatwanej plataninie wspomnien, co jakis czas dodatkowo nawiedzanej przez sztuczna osobowosc Ryncha Brodie.

-Nie potrafilem sie utrzymac na panstwowej posadzie. A kiedy czlowiek raz juz sie nabawi nalogu jedzenia, to nie potrafi dobrowolnie glodowac.

-Dlaczego nie dales sobie rady na panstwowej posadzie?

-Nigdy nie potrafilem wyjsc poza najnizszy szczebel hierarchii, choc tak bardzo sie staralem. Calymi godzinami naciskalem guziczki przy blyskajacych swiatelkach... - Vye pokrecil glowa. - Stwierdzili, ze robie za wiele pomylek i wyrzucili mnie. Jeszcze jedno przeniesienie i zostalbym poddany przymusowemu warunkowaniu. Dlatego wybralem "Roj Gwiazd".

-Myslales kiedykolwiek o pozyczce pod polise ubezpieczeniowa na zycie?

Vye rozesmial sie.

-Pozyczka? O tym mozna tylko marzyc, jesli sie stale zmienia prace. Zadne z towarzystw ubezpieczeniowych nie pojdzie na ryzyko udzielenia pozyczki czlowiekowi, ktory ma tak dlugi rejestr zatrudnien i zwolnien. Zebys wiedzial, jak ja sie staralem... - Wszystkie fakty z jego zycia skul lod tego najgorszego wspomnienia. Naprawde probowal wyrwac sie z matni, w jaka schwytyly go prawo i obyczaj, kiedy uznano go za sierote, zyjacego na koszt panstwa. - Czekalo mnie albo warunkowanie, albo upadek na samo dno w zaulkach portu.

-I wybrales upadek?

-Chcialem byc soba. I dlatego musialem uniknac warunkowania.

-Ale ostatecznie stales sie Rynchem Brodie.

-Co ty mowisz?... No moze na jakis czas. Ale przeciez znowu jestem Vyem Lansorem.

-Teraz tak. I nie mysl, ze bedziesz musial zaciagac pozyczke, zeby zaczynac od nowa. Wiesz, ze mozesz sie domagac odszkodowania za to, co cie tu spotkalo.

Vye chcial milczec, ale Hume mu na to nie pozwalal.

-Bedziesz mogl przedstawic swoja sprawe Patrolowi. Ja cie popre.

-Nie mozesz.

-I tu sie wlasnie mylisz - powiedzial szorstkim glosem Hume. - Na statku nagralam cala historie, jest juz w archiwum. Vye zmarszczyl czolo. Lowca najwyrazniej sam sie pchal w niezbyt czule objecia Patrolu albo planetarnej policji Nahua jakby zupełnie nie zdawal sobie sprawy, ze nielegalne waru kowanie jest uwazane za jedno z najpowazniejszych przestepstw

Trasa ich lotu miescila sie w obszarze trojkata wytyczonego przez trzy punkty: gorska doline, oboz Wassa i siedzibe safari. Lecieli w strone zboczy, na ktore bestie najprawdopodobniej zagnaly ludzi. Bacznie obserwujacy lesne polacie Vye zaczal watpic, czy uda sie ich wypatrzyc, zanim dotra do doliny.

Hume lecial kursem wahadlowym, kierujac sie to w prawo, to w lewo; obydwaj czekali z napieciem na blysk jakiejs kuli albo ruch zdradzajacy ludzka obecność. Wreszcie po jakimś czasie, w trakcie mijania jednego ze szczytow, zauwazyli znajome sylwetki dwoch niebieskich bestii. Wedrowaly ociezalym krokiem, nie zwracajac najmniejszej uwagi na kopter, zaabsorbowane wylaczenie celem swojej misji.

-Moze to koniec stada - skomentowal Hume.

Kopter zaczal krzycz nad linia karlowatych drzew i krzewow. Dalej byly juz tylko nagie skaly. Unosili sie przez kilka dobrych chwil, ale nie wypatrzyli zadnego ruchu na otwartej przestrzeni.

-Chyba zly trop.

Hume zatoczyl krag. Od dluzszego czasu sterowal recznie, dzieki czemu maszyna szybko reagowala na zmiany jego decyzji.

Poznali odpowiedz, gdy zatoczyli szerszy krag - w zbitej barierze roslinnosci pojawil sie skalny korytarz, biegnacy w strone wyzyn, nieco podobny do rozpadliny, przez ktora szli pare dni temu. Hume obnizyl pulap lotu i przelecial tuz nad nim. Gdyby jednak poszukiwani przez nich ludzie zdecydowali sie isc wlasnie ta droga, to z gory i tak nie byliby w stanie ich wypatrzyc. Gdy zapadl wieczor, Hume zmuszony byl przyznac sie do porazki.

-Bedziemy czekac przy wejsciui? - spytal Vye.

-Na razie musimy. - Hume rozejrzal sie dookola. - Mysle, ze pojawia sie tutaj dopiero poznym rankiem, jesli w ogole sa w tej okolicy. Mamy mnostwo czasu.

Czasu na co? Na przygotowania do zazartej walki z Wassem albo z goniacyimi go bestiami? Na probe rozwiazania tajemnicy jeziora?

-Czy sadzisz, ze potrafilibysmy wysadzić w powietrze te konstrukcje na dnie jeziora? - spytal Vye.

-Prawdopodobnie tak. Ale to rozwiązanie ostateczne. Wszystko powinno pozostać w niezmienionym stanie, żeby specjaliści od obcych cywilizacji mogli wszystko zbadać. Nie, zastanówmy się raczej, jak zatrzymać Wassę przy wejściu do doliny do czasu przybycia Patrolu.

W niecałą godzinę później Hume wylądował zrezygnownie na szczycie jednego ze zboczy, które tworzyły jakby portal nad wejściem do doliny. W krajobrazie pod nimi nie zaszły żadne zmiany, tyle że z ciał dwóch niebieskich bestii zostały teraz tylko nagie, polyskujące kości.

Słońce zachodziło już za szczytami, a z lasów otaczających jezioro powoli wylewała się plama mroku niczym zwiastun nadchodzącego zła. Noc zapadła tu wcześniej niż na równinach.

-Spojrz tam! - Vye patrzył w dół na rozpadlinę; on pierwszy zauważył poruszenie w maskującym ją krzaku.

Zza skały drobnymi krokami wybiegło czworonożne rogate zwierzę, którego nigdy dotąd nie widział.

-To jelen sika - powiedział Hume. - Ale skąd się wziął w tych górach? Jego rodzinne strony są zupełnie gdzie indziej.

Jelen nie zatrzymał się, biegł prosto do wyrwy. Kiedy zbliżył się, Vye dostrzegł, że jego brzoza sierść jest pokryta plamami piany, ściekającej z bladorożowego jeziora zwisającego z otwartej paszczy. Zapadnięte boki zwierzęcia ciężko falowały.

-Też go tu zapędzono! - Hume podniósł kamień i cisnął go tuż pod nogi jelenia.

Stworzenie nie przestraszyło się, nawet nie dało po sobie poznać, że zauważyło pocisk, i dreptało dalej tym samym zmęczonym krokiem. Potem minęło skalny portal wiodący do doliny, stanęło nieruchomo, unosząc trójkątny łeb i wystawiając czarne rogi, rozdzielił chrapy, wachając powietrze, a po chwili pogalopowało w stronę jeziora i zniknęło w lesie.

Czuwali na zmianę przez całą noc, ale nie zauważyli żadnych śladów życia. Jelen także więcej się nie pojawił. Dopiero nad ranem poderwał ich przerażający dźwięk - dziki krzyk, z całą pewnością wydany przez ludzkie gardło. Hume rzucił w stronę Vye'a jeden z pistoletów strzałkowych i obydwaj wysiedli z koptera.

Wass szedł za ślaniającą się trójką swych ludzi, jakby był kierowca jadącym za szeregiem innych pojazdów. Mimo że tamci chwiali się i potykali, wyraźnie doprowadzeni na skraj wyczerpania, on sam kroczył pewnie, doskonale opanowany, bez śladu strachu, na moment nie dając im zapomnieć, kto tu rządzi.

Z twarzy mężczyzny, który dotarł do nich jako pierwszy ściekała cienka struzka krwi.

-Wass! - zawolal Hume.

VIP zatrzymal sie w pol kroku. Nie zdjal z ramienia pistoletu, ktorego lufa wycelowana byla w niebo, tylko obrocil nieznacznie swa okragla glowe, ozdobiona sterczacym grzebieniem wlosow.

-Zatrzymaj sie, Wass! To pulapka!

Trzej mezczyzni nie przestawali isc przed siebie. Vye wyszedl z kryjacych go cieni i w ostatniej chwili podtrzymal idacego na czele grupy, omdlewajacego Peake'a.

-Vye! - W glosie Hume'a zabrzmialo ostrzezenie.

Zdazyl jeszcze podniesc wzrok. Wass, ktorego twarz, z wyjatkiem oczu - oczu plonacych szalenstwem - byla pozbawiona wszelkiego wyrazu, wycelowal w niego promiennik.

Pozbawiony oparcia Peake runal w prawo, prosto na Hume'a. Upadajac, Vye zobaczyl pedzacego naprzod Wassa, z predkoscia doprawdy zadziwiajaca jak na czlowieka, ktory mial za soba wyczerpujacy marsz. VIP uchytil sie, unikajac strzalki, ktorej lowca nie zdazyl dokladnie wycelowac, przetoczyl sie i poderwal na rowne nogi z pistoletem Vye'a w dloni. W nastepnej chwili lufa broni zadal miazdzacy cios szamoczacemu sie w uscisku Peake'a Hume'owi. Lowca wydal z siebie okrzyk i padl plecami na sciane zbocza; z jego skroni wytrysnal strumien szkarlatnej krwi.

Wass nie przestawal szarzowac, ani na sekunde nie tracac rozpedu. Runal prosto na pozostalych ludzi i Vye zdazyl jeszcze zobaczyc, jak wszyscy czterej tlocza sie na jednym skrawku ziemi i zlani w chaotyczna mase mlocacych rak i nog przetaczaja sie prosto do doliny. Wszystko to przy akompaniamencie chrapliwych, bezslownych okrzykow Wassa, odbijajacych sie echem od gorskich szczytow.

13

Lezal nieruchomo pod jakas skala. Dookola na powrot panowala cisza, przerywana jedynie niskim skowytem, ktory ranil uszy i wzmagal palacy bol w boku. Vye obrocil glowe, poczul zapach zweglonej tkaniny i spalonego ludzkiego ciala. Ostroznie probowal sie poruszyc, zbadac swoje cialo dlonia. Jedynie niewielka czesc jego umyslu pozostala jasna - jezeli uda mu sie dosiegnac palcami przytroczonego pakietu, a jego zawartosc doniesc do ust, to bol ustanie i moze znów ogarnie go kojacy mrok. Jakos mu sie udalo, wyciagnal pakiet z pochewki przy pasie i tak dlugo manipulowal palcami sprawnej reki, az wreszcie zdolal rozerwac opakowanie. Tabletki wysypaly sie z omdlalej dloni, ale w ostatniej chwili zdazyl schwycic trzy albo cztery. Z najwyzszym trudem podniosl dlon do ust, przezul gorycz i jakos przelknal.

Woda - jezioro! Na moment powrocil do terazniejszosci, szukajac po omacku buklakow. Jeknal glosno, bo nieostrozny ruch palcow wywolal nagle uklucie palacego, smiertelnego

bolu.

Tabletki zaczynały działać. Nie stracił na powrót przytomności, a cierpienie stało się czymś odległym i mało dokuczliwym. Po chwili uchwycił występ skalnej ściany i usiadł.

Promienie słońca odbiły się od metalowej lufy pistoletu strzałkowego, leżącego w pyłe stratowanej ziemi. Nieco dalej spoczywało czyjeś nieruchome ciało, z głową zanurzoną w kałuży krwi. Vye czekał chwilę, aż uspokoi mu się oddech, po czym wyruszył w nieskonczonej długą drogę dzielącą go od nieprzytomnego Hume'a.

Dyszał ciężko, gdy podpełzał wreszcie wystarczająco blisko, by móc dotknąć łowcy. Twarz Hume'a, zagrzebana częściowo w przemokłym piachu, była umazana zakrzepłą krwią. Uniesiona z trudem głowa łowcy zwisała bezwładnie. Jeden z policzków pokrywała gruba warstwa krwi zmieszanej z pyłem; nie można było stwierdzić, jak głęboka jest rana Hume'a. Wciąż jednak żył.

Pomagając sobie zdrową dłoń, wepchnął zdrewniałą i bezużyteczną lewą rękę za pas. Potem niezdarnie usiłował opatrzyć swego nieprzytomnego towarzysza. Obejrzał go dokładniej i stwierdził, że prawie cała krew pochodzi z poszarpanej rany nad skronią. Na szczęście kość była nietknięta. Wyjął tabletki z apteczki Hume'a i rozkruszywszy je, wsunął do zmartwiałych ust łowcy, mając nadzieję, że same się rozpuszczą. Potem oparł się o ścianę zbocza i zaczął czekać - nie bardzo wiedząc, na co.

Grupa Wassów zniknęła w dolinie. Gdy obrócił głowę i ogarnął wzrokiem dolne partie zboczy, nie udało mu się dojrzec żadnego z nich. Najprawdopodobniej zamierzali dotrzeć do jeziora. Kopter znajdował się na szczycie góry, równie nieosiągalny jakby orbitował wokół planety. Mogł liczyć tylko na nadejście grupy ratowniczej z obozu safari. Tuż przed lądowaniem Hume włączył sygnalizator w kopterze, znak dla Patrolu, na wypadek gdyby Starsowski udało się skontaktować z krazownikami.

-Mmmm... - Wargi Hume'a drgnęły, w masce zaschniętej krwi pokrywającej jego usta i brode pojawiły się pęknięcia. Otworzył oczy i wznosił błędny wzrok ku niebu.

-Hume? - Vye był zdziwiony słysząc własny głos, cienki i słaby, z trudem dobywający się z krtani.

Łowca obrócił głowę. W jego wzroku, utkwionym teraz w chłopcu, zamigotała iskierka świadomości.

-Wass? - Tak samo jak Vye mówił ledwie słyszalnym szeptem.

-Poszedł tam. - Vye unosił dłoń z piersi Hume'a, wskazując dolinę.

-Niedobrze. - Hume zamrugł. - Jak z tobą?

Nie interesował się własnymi obrażeniami; spojrzawszy z troską na Vye'a. Chłopiec popatrzył na swój poparzony bok. Jakimś cudem, być może dlatego, że akurat bil się z Peake'em, strumień energii z promiennika Wassera nie ranił go śmiertelnie, przechodząc pod ramieniem i osmalając skórę na boku. Nie wiedział i wcale nie chciał wiedzieć, jak poważne jest oparzenie. Wystarczało, że tabletki zniwelowały ból.

-Jestem trochę poparzony - przyzna!. - A ty masz mocno rozciętą głowę.

Hume zmarszczył brwi.

-Czy damy radę dotrzeć do koptera?

Vye próbował się podnieść, ale szybko opadł.

-Nie teraz - powiedział wymijająco wiedząc, że żaden z nich nie jest w stanie podjąć się takiej wspinaczki.

-Sygnalizator nadal działa? - Hume powtórzył wcześniejsze myśli Vye'a. - Patrol jest już chyba w drodze?

Tak, Patrol w końcu przybędzie - tylko kiedy? Za kilka godzin, dni? Czas był ich wrogiem. Nie musiał nic mówić, łowca też to wiedział.

-Pistolet...

Hume obrócił głowę i drżącymi dłońmi wskazał przysypaną pyłem bronią.

-Oni nie wrócą.

Vye wypowiedział na głos to, co było oczywiste. Ludzie Wassera zostali złapani w pułapkę; prawdopodobieństwo wydostania się bez pomocy z zewnątrz było niewielkie.

-Pistolet! - powtórzył Hume bardziej stanowczym głosem i usiłował usiąść, ale natychmiast osunął się z powrotem, wydając głosny jęk bólu.

Vye przesunął się ostrożnie, wyciągnął nogę i zaczepił stopę o pas pistoletu, przysuwając go do siebie. Kiedy kładł broń na kolanie, usłyszał głos Hume'a:

-Uważaj!

-Oni tam weszli - zaprotestował Vye.

Hume jednak zamknął znowu oczy.

-Trzeba uważać... może...

Zawiesił głos.

Vye wsparł dłoń na kolbie pistoletu.

-Huuuuuu!

Ryk bestii - taki sam slyszeli w dolinie! Rozbrzmiewał gdzieś w lesie. Vye podniósł pistolet i wycelował go w tamtym kierunku. Po okolicy grasowała śmierć, rozpoczynając swe krwawe łowy, a on był zupełnie bezsilny.

W echo wycia wbił się nagle przeraźliwy krzyk torturowanego człowieka. Vye dostrzegł gwałtowne dygotanie zarośli. W oddali na otwartą przestrzeń wypelzła na czworakach jakaś postać, zatrzymała się i osunęła na mech, nieruchomiejąc na nim jak ciemna plama. Znowu rozległ się ryk bestii, a zaraz potem ludzki krzyk!

Vye wylowił wzrokiem drugiego mężczyznę, który szedł tyłem pomiędzy drzewami, cofając się przed jakimś scigającym go stworzeniem. Dostrzegł odbłysek słońca od jakiegoś metalowego przedmiotu, prawdopodobnie promiennika. Liście skurczyły się i zwęglily, tworząc czarny otwór, wzdłuż linii strzału uniosły się kleby dymu. Mężczyzna nie przestawał się cofać, minal nieruchome ciało swego towarzysza, spoglądając co jakiś czas przez ramię na zbocze, po którym mozolnie, lecz uparcie się wspinał. Przestał już ostrzeliwać zarośla, ale brzegi wypalonego przez niego otworu otaczał wieniec trzaskających płomyków ognia.

Dwa kroki w tył, trzy. Obrocił się, strzelił, znowu obejrzał się dookoła, znowu pokonał kilka jardów otwartej przestrzeni. Vye już widział, że ten człowiek to Wass.

Następny strzał, kolejny obrot. I znowu wpadł prosto w objęcia niebezpieczeństwa. Grupa składała się z trzech stworzeń, równie monstrualnych jak tamte, z którymi Vye i Hume walczyli w tym samym miejscu. Jedno z nich było ranne, machało upaloną łapą i dziko porykiwało.

Wass wycelował promiennik w piers bestii stojącej najbliżej niego. Nacisnął przycisk i niemal nie zapłacił życiem za sekunde zwłoki, ponieważ stworzenie wykonało jeden z tych błyskawicznych skoków, przed którym Vye'owi udało się jakimś cudem uciec. Szponiasta łapa rozdarła rekaw tuniki Wassa, znacząc w ramieniu krwawe bruzdy. Mężczyzna cisnął bezużyteczny promiennik w pysk bestii i rzucił się do panicznej ucieczki w stronę wyjścia z doliny.

Vye ułożył pistolet na kolanie i strzelił. Bestia zatrzymała się, wyrwała zatruta drzazga, która utkwiała w jej potężnym ramieniu i zmiądzyla ją jednym uściskiem kosmatej łapy. Vye nie przestawał strzelać, niepewny, czy dobrze celuje, widział jednak, jak strzałki trafiają w grube odnoża, wyciągnięte do przodu górne kończyny, w szerokie, rozkolysane brzuchy. Po chwili na zboczu leżały trzy niebieskie kształty, mężczyzna wciąż biegł w stronę wyjścia z doliny.

Wass uderzył z pełnym rozpedem w niewidzialną barierę, odbił się i wylądował na darni. VIP krzyknął, podniósł się błyskawicznie i podpełzł do wyjścia, nie wierząc w to, co się stało. Vye zamknął oczy. Był bardzo zmęczony - zmęczony i spiący - być może pod wpływem działania tabletek przeciwbólowych. Wciąż jednak słyszał odgłosy walki Wassa z niewidoczną barierą. VIP rzucał się na nią, najpierw z gniewem i strachem, potem już tylko ze strachem. Po dłuższym czasie poddał się i zanosił bezradnym, rozpaczliwym laniem.

-Mamy tu nagrany raport Rasa Hume'a, Poszukiwacza Ścieżek Gildii.

Vye wpatrywał się w stojącego przed nim oficera, ubranego w czarno-srebrny mundur Patrolu. Na piersi mężczyzny pisało się "oko", chłodne i niewzruszone - odznaka oddziałów badających obce cywilizacje.

-Zatem znacie już całą historię.

Nie miał zamiaru niczego dodawać ani wyjaśniać. Może Hume go oczyścił z zarzutów. Chciał tylko wyjść na wolność i zapomnieć, zapomnieć o Jumali oraz o Rasie Hume.

Nie widział łowcy, odkąd wsadzono ich obojga do koptera Gildii. Wass wyszedł z doliny jako bezrozumna, oglupiała istota, nie wyswobodziwszy się mentalnie spod wpływu mocy, która zastawiła pułapkę. Na ile Vye się orientował, VIP wciąż jeszcze nie odzyskał władzy nad swoim rozumem i szansę na to wydawały się niewielkie. Hume natomiast, jeśli nie podyktował Patrolowi obciążających go zeznań, mógł uciec. Mieli powody, by go podejrzewać, nie poparte jednak żadnymi dowodami.

-Nadal odmawiasz zeznań?

Oficer obdarzył go jednym z tych twardych spojrzeń, które Vye nie raz widział na twarzach przedstawicieli władzy.

-Mam takie prawo.

-Masz prawo ubiegać się o odszkodowanie. To jest wysoka kwota, Lansor.

Vye wzruszył ramionami, a potem skrzywił się, czując ostrzegawcze napięcie poparzonej skóry na zębach.

-Niczego nie chce i odmawiam zeznań - powtórzył.

Miał zamiar to powtarzać dopoty, dopóki będa go dreczyć pytaniami. W ciągu ostatnich dwóch dni złożono mu dwie wizyty i już go to trochę zaczynało męczyć. Być może powinien zrobić to, co dyktował rozsadek, i zażądać, by go odstawiono na Nahuatl. Jedynie dziwne, niewyjaśnialne pragnienie, by jeszcze raz zobaczyć Hume'a, nie pozwalało mu wyrazić takiego życzenia.

-Lepiej zastanow sie raz jeszcze - nalegal przedstawiciel wladzy.

-Prawa czlowieka...

Wyrecytowawszy to, Vye omal nie wybuchnal smiechem. Po raz pierwszy w swym zyciu, w ktorym byl wiecznie czyims popychadlem, mogl uzyc tej szczegolnej frazy i zadac jej przestrzegania. Wydalo mu sie, ze widzi kwasny grymas na twarzy oficera, jednakze jego glos zachowal obojetny ton, kiedy przemowil do mikrofonu przekaznika:

-Odmowil nagrania zeznan.

Vye czekal na nastepny ruch, oznaczajacy koniec tej rozmowy. Oficer jednakze wyraznie sie odprezyl, zarzucajac oficjalny sposob bycia. Z wewnetrznej kieszeni uniformu wyciagnal paczke korzennych papierosow i poczestowal nimi Vye'a. Ten, jakby nabierajac podejrzen, odmowil ruchem glowy. Oficer wyjal jedna z malych rurek, oderwal koncowke zabezpieczajaca i wlozywszy ja miedzy wargi, z zadowoleniem mocno sie zaciagnal. W tym momencie drzwi kabiny rozsunely sie. Vye poderwal sie z miejsca na widok Rasa Hume'a.

Oficer machnal reka w strone Vye'a z mina kogos, kto wlasnie uporal sie z jakimis trudnym problemem.

-Miales racje. On nalezy calkowicie do ciebie, Hume.

Vye patrzyl to na jednego, to na drugiego. Nagranie Hume'a znalazlo sie w rekach wladz, wiec dlaczego go jeszcze nie aresztowano? Moze oficerowie nie uwazali scislego aresztu za konieczny, skoro znajdowali sie na pokladzie krazownika Patrolu. Niemniej jednak lowca nie najlepiej odgrywal role wieznia. Wrecz przeciwnie, rozsiadl sie na wysuwany z sciany siedzeniu ze swoboda czlowieka, ktory czuje sie jak u siebie w domu, i przyjal papierosa podsunietego mu przez oficera.

-Wiec nie zrobisz nagrania - zaczal pogodnie.

-Zachowujesz sie tak, jakbys chcial, zebym to zrobil! - Vye byl tak oszolomiony tym dziwnym zwrotem wydarzen, ze jego glos zabrzmial nieomal blagalnie.

-Rozczarowujesz mnie! Widzisz chyba, ile czasu i wysilku kosztowalo nas umieszczenie cie w miejscu, w ktorym moglbys dokonac swojego nagrania.

-Nas? - powtorzyl Vye.

Oficer wyjal papierosa z ust.

-Opowiedz mu cala te smutna historie, Hume.

Vye zaczynal jednak powoli domyslac sie wszystkiego. Zycie w "Roju Gwiazd", na samym

dnie portu, powodowało u jednych przytępienie, u innych wyostrenie inteligencji. Inteligencja Vye'a blyszczala jak krysztalowe lustro.

-To wszystko bylo ukartowane?

-Zgadza sie - powiedzial Hume i spojrzal nieco zaczepnie na oficera Patrolu. - Rownie dobrze moglbym opowiedziec cala prawde, ktora, niestety, jest odrobine watpliwa z punktu widzenia prawa. Mialem powody, by narobic klopotow klanowi Koganow, ale zupeInie nie bylo to zwiazane z pieniadzmi. - Poruszył swa dlonia z plasta-ciala. - Kiedy znalazlem kapsule ratunkowa z largo drift i dostrzeglem wiazace sie z nia mozliwosci, troche sobie pomarzyłem i wymyslilem ten plan. Jednakze jestem czlowiekiem Gildii i tak sie sklada, ze chce nim pozostac. Zglosilem sie wiec do jednego z Mistrzow i opowiedzialem mu cala historie, tlumaczac, dlaczego nie zeznałem w raportach o swoim odkryciu na Jumali.

Mistrz przekazal informacje o kapsule ratunkowej Patrolowi i stwierdzil, ze jest to znakomita mozliwosc zalozenia pulapki. I to byl poczatek reakcji lancuchowej. Tak sie sklada, ze Patrol chcial dopasc Wassa, ktory byl zbyt potezny i sprytny, by dac sie postawic przed sadem. Uznali, ze byc moze da sie zlapac na taka przynete i to ja mialem nawiazac z nim kontakt. Wiadomo bylo, ze on bedzie mnie sprawdzal i wtedy sie dowie, ze mam doskonaly motyw, by mscic sie na Koganach. Udałem sie do niego z ta historyjka i on ja kupil. Razem opracowalismy cale przedsiwziecie, dokladnie wedlug moich planow. Kontrolowac mial mnie Rovald, wtyczka Wassa. Nie wiedzialem jednak, ze Yactisi tez jest wtyczka.

Oficer Patrolu usmiechnal sie.

-Zabezpieczenie - machnal niedbale papierosem - zwykle zabezpieczenie.

-Nie przewidzielismy natomiast, ze nastapia takie komplikacje z obcymi. Ty miales zostac znaleziony jako rozbitek, sprowadzony do Centrum. Potem, kiedy Wass bylby juz gleboko zaangazowany w cala sprawe. Patrol mial ujawnic cala prawde. I rzeczywiscie zlapalismy Wassa, a dzieki twojemu nagraniu juz nam sie nie wywinie i czeka go oskarzenie o dokonanie nielegalnego warunkowania. Dowiedzielismy sie tez o istnieniu obcej cywilizacji na Jumali, dzieki czemu nasze sluzby beda przez dluzszy czas mialy pelne rece roboty. I dlatego wlasnie twoje nagranie jest tak bardzo nam potrzebne.

Vye przygladal sie z ukosa Hume'owi.

-A wiec jestes agentem?

Hume pokrecil glowa.

-Nie... tak, jak mowilem, jestem Poszukiwaczem Sciezek, ktory przypadkiem dowiedzial sie o czyms, co pomoglo wyeliminowac przestepcza mafie dzialajaca na kilkunastu planetach. Nie kocham klanu Koganow, ale pomoc w wykonczeniu VIP-a na miare Wassa

bardzo pomaga w podniesieniu samooceny.

-To odszkodowanie... czy rzeczywiście mogę o nie wystąpić, mimo że cała sprawa była ukartowana?

-Twoje roszczenia mają pierwszeństwo wobec majątku Wassa. On bardzo dużo zainwestował w legalne przedsięwzięcia, choć prawdopodobnie nigdy nie wykryjemy wszystkich jego ukrytych funduszy. Ale w każdym razie wszystko, co znajdziemy, zostanie skonfiskowane. Czy mamy coś zrobić z twoimi udziałami? - spytał oficer.

-Tak.

Hume uśmiechał się łagodnie. Był zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego Vye poznał na Jumali.

-Premia dla Gildii wynosi tysiąc kredytek, dwa tysiące za wykształcenie i powiedzmy jeszcze jeden za najlepszy uniform, jaki możesz sobie kupić. Zostanie ci jeszcze jakies dwa lub trzy tysiące, które będziesz mógł zaoszczędzić na zasłużoną emeryturę.

-Skąd wiedziałeś? - spytał Vye i w tym momencie mimo woli wybuchnął śmiechem słysząc, jak Hume odpowiada:

-Nie wiedziałem, ale zgadłem poprawnie, co? No dobrze, nastaw swój magnetofon, dowodco. Zdaje się, że możesz wreszcie skorzystać z prawa wolności słowa. Wstał.

-Widzisz, Gildia zainwestowała trochę w to, co odkryliśmy razem na Jumali. Może uda nam się jeszcze rozwiązać zagadkę doliny, rekrucie.

Wyszedł z kabiny, a Vye, który niczego bardziej nie pragnął, niż pożegnać się z przeszłością i jak najszybciej wkroczyć w przyszłość, sięgnął po dyktafon.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/